





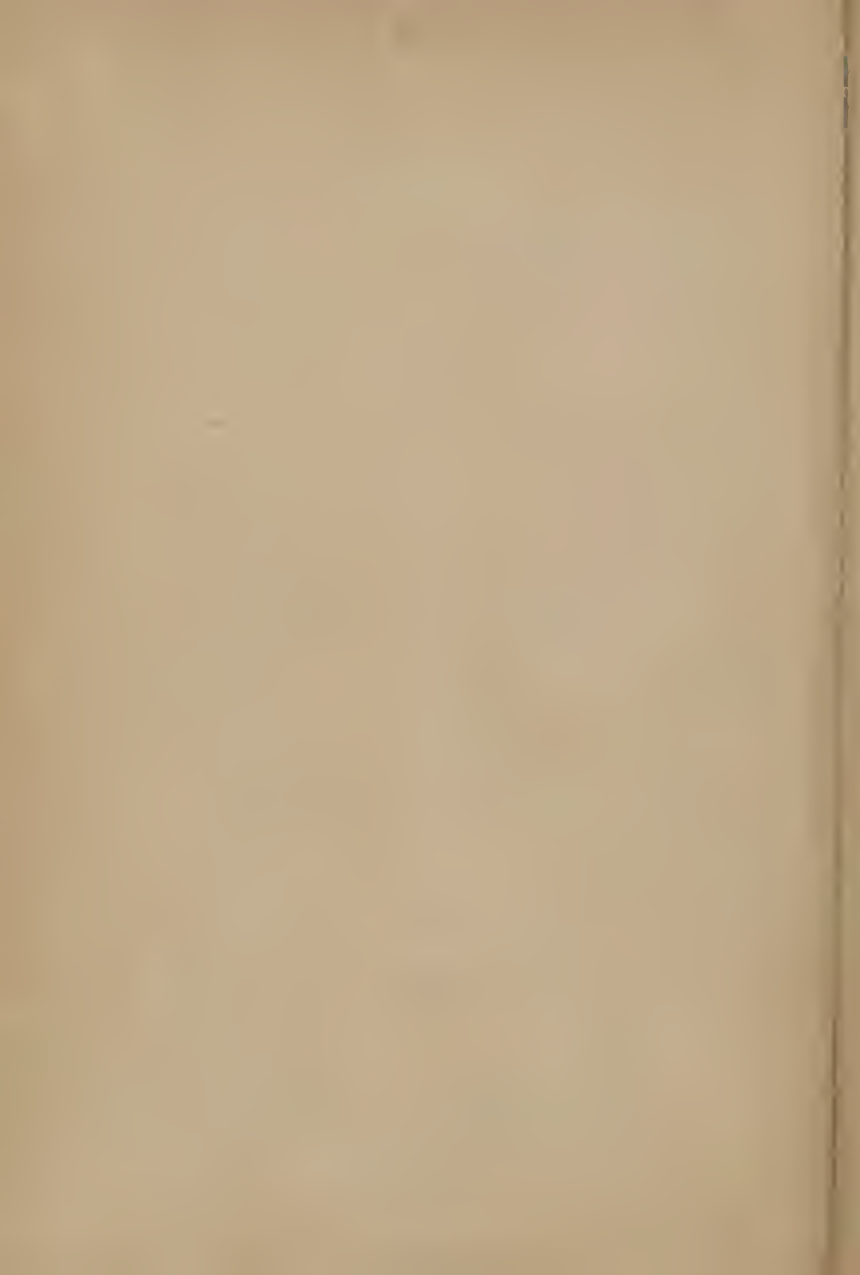
WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom pięćdziesiąty trzeci.



# NIEBIESKIE MIGDAŁY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

—  
1885.

Дозволено Цензурою  
Варшава, 18 Июля 1884 года.



Późnym wieczorem smętnego dnia dżdżystego dojechał Zdzisław do Samoborów, a mrok w pierwszej chwili przynajmniej zakrył przed jego oczyma spustoszenie już widoczne, nad którem pracował pilno p. Sebastian. Zajechał jak za zwyczaj przed ganek, i szczęściem nie spotkał się tuż na pierwszym kroku ze stryjem, który tego dnia gospodarował na innym folwarku. W sieniach i przedpokoju nie było nikogo, nawet światła, nierychło przybiegli służący od pokoju hrabiny ze świecą w ręku, cały drżący powitać paniczą. Pocziwy chłopiec tak był zmieszany, że łzy mu stały w oczach, a widząc, że Zdzisł wprost chce iść przez salony, i czując jakie one na nim mogą uczynić wrażenie, rad go był odciągnąć. To mu się jednak nie udało: Zdzisław już drzwi otworzył do wielkiej sali, i nie przygotowany wcale do tego widoku jaki go tu spotykał—stanął osłupiały... Te stosy porozrzuconych sprzętów, odarte ściany, nagie podłogi—to spustoszenie niemyślnie było dlań niezrozumiałe... Jakiś dźwięk niewyraźny z ust mu się wyrwał — i zamilkł. Chwilę

wstrzymawszy się w progu — powoli postąpił dalej.. Zdawało mu się snem jakimś co tu widział...

Z obawą posuwał się krok za krokiem, stając co chwila. Salon drugi stał pusty... przez drzwi jego widać było gabinet hrabiny, niedawno jeszcze tak wdzięczny, dziś równie odarty jak inne pokoje. Zdziśowi łzy się z oczu puściły. mnsiał się oprzeć o ścianę, bo mu się zawracało w głowie.

Służący patrzył nań z niemem politowaniem.

Żabicki miał czas w drodze przygotować swego ucznia do tego co mógł zastać — lecz najczarniejszy obraz nie mógł zrównać z rzeczywistością. Porównanie tych Samoborów, jakie rzucił i jakie zastawał, przechodziło pojęcie... Dokonało się to z szybkością, którą tylko zemsta niepoczciwa nadać może sprawie ludzkiej, z szybkością, z jaką tylko niszczyć może człowiek.

We drzwiach gabinetu stał doktor, stary przyjaciel domu, którego Zdziś czy nie postrzegł z razu, czy nie poznał; ten ujął go za rękę zwolna i przywitał cicho... Zdziś jakby się przebudził, smutnie spojrzawszy na niego.

Stan hrabiny ciągle był jednostajny; przyłączyła się do niego senność, zwiastująca, że mózg był dotknięty. Jakkolwiek spodziewano się wiele po przybyciu syna, nie była to chwila właściwa do wprowadzenia Zdziśława. Doktor chciał, aby poczekał do dnia. Oprócz niego i panny Róży, która wyszła z płaczu i łkaniem witać Zdziśława, nie było w Samoborach nikogo; prezes i kapitan odjeżdżali codzień na noc do Wólki. Z trzech pokojów pozostawionych hrabinie, ona i jej służba żeńska zajmowały dwa, w trzecim na



kanapie sypiał doktor, na sienniku służący—do innych mieszkań z rozkazu garbatego nie dopuszczano. Przez sale nawet wnijsie było zabronione i Zdzisław znalazł je otwarte przypadkiem, a za nim natychmiast przypadł nowo zaciągnięty jakiś stróż nowego pana, który z fukiem i hałasem wszystko pozamykał. Żabicki i Zdzisław nie mieli gdzie przenocować. Na folwarku installowany był nowy ekonom, oficyny i wszelkie zabudowania zajęte zostały lub pozamykane.

Gdy doktor oświadczył, że Zdzisław tego wieczoru wpuszczony być nie może, należało się obejrzyć za pomieszczeniem przybyłych, którzy musieli albo u kanonika szukać schronienia lub jechać do Wólki. Ponieważ widzenie się z prezesem było konieczne, panna Róża i doktor radzili na noc jechać do kapita-  
na. Żabicki powiedział, że sobie z noclegiem da rady czy na probostwie czy w chacie, a Zdzisław po chwili cichej rozmowy, wybrał się, za radą idąc, do Wólki. Wprawdzie i tam w szczupłym dworku niewiele miejsca było dla gości, jedną izbę już prezes zajmował, ale w tej samej właśnie i Zdzisław mógł nocować. Pałac, w którym niedawno tak mu było obszernie, gdzie całe zajmował skrzydło — nie miał teraz kątku dla niego. Zdzisław nadto był dumny, aby u obcych a nieprzyjaznych miał bodaj o garść słomy prosić. Konie choć zmęczone musiały go wieść do Wólki. Poruszony widokiem ruiny tej która mu stała w oczach z całą okropnością swoją... przybity... widocznie osłabły na duchu, Samoborski młody drapał się na pocztową bryczkę, przeprowadzany przez pannę Różę i Żabickiego. Po odejściu kobiety, Żabicki się raz jeszcze przybliżył do dawnej ucznia.

— Panie Zdzisławie, mężtwo! mężtwo! Powinieneś je mieć za siebie i za matkę... nie dawaj się opanować wrażeniu... bądź wyższy nad to co cię spotyka... bądź mężczyzną.

Wstrząsnął silnie ręką zamyszonego chłopca — i powtórzył za odjeżdżającym jeszcze: „Panie Zdzisławie, mężtwo!“ Przypomnienie to obowiązku nigdy potrzebniejszym być nie mogło. Zdziś czuł się osłabłym...

Dotąd w podróży podtrzymywał go Żabicki, teraz zostawszy sam, czuł się bezsilnym i bezradnym. Gdyby się nie wstydził, na łzyby mu się zbierało. Szczęściem niewielka do Wólki odległość wprędce przebieżona została. Na turkot zajeżdżającej bryczki, jakby przecuciem wiedziona wybiegła Stasia, i wzruszone obie rączki wyciągnęła z okrzykiem przybywającemu Zdzisławowi, który je milcząc ucałował. Był to niemal pierwszy czulszy wyraz miłosierdzia nad jego dola, który serce jego poruszył do głębi. Wiodąc go za sobą, Stasia weszła do saloniku, w którym prezes i kapitan siedzieli z grobowemi myślami. Na widok Zdzisława Mohyle łatwe łzy puściły się z oczu, począł go łkając obejmować i ścisnąć...

Kapitan był smutny, ale znać na nim było mężtwo. Stasia stała z boku drżąc w milczeniu.

Nie rychło zebrali się na rozmowę cichą. Zdziś opowiedział im przybycie swe i wyrok doktora, który do jutra wprowadzenie go odłożył, co wszyscy pochwaliли.

— Panie kapitanie, dodał, pozwól, bym z p. prezesem przenocował; w Samoborach miejsca dla mnie nie znaleziono...

Porowski szybko oświadczył, że u niego się ono znajdzie, i ścisnął rękę Zdzisława, który zmnęzony padł w krzesło...

— A! prezesie, zawołał — widok pałacu niegdyś naszego nie może mi wyjść z myśli, ten człowiek zniszczył go całkowicie. Cóż to za jeden ten człowiek...?

— To nie człowiek! gwałtownie wybuchnął prezes uderzając w stół obu rękami — trzeba go widzieć, aby zrozumieć, że taka dzika, nieprześlągana istota istnieć może... Wyobrażałem go sobie mściwym, nieużyтым, złym, lecz dostępnym wstydomu jakimś, ucznuciu — to zwierzę! to zwierzę! Napróżnoby się było czegokolwiek po nim spodziewać — oprócz zła, jakie może wyrazić.

— Lecz któżby odeń czego żądał? ktoby go o co prosił? przerwał Zdzisław — co najprędzej należy mamę wywieźć z tamtąd. nie ścierpię, by była na łasce...

— Dokąd? zapytał prezes.

— Do nas, do nas! to najbliżej i najdogodniej, podbiegając wtrąciła Stasia. — Ja mój pokój już przygotowałem dla hrabiny, a we mnie mieć będzie więcej jedną sługę... Panna Róża sama nie wydoła...

— A! nie, pani, nie — odezwał się Zdzisław; umiem cenić tę ofiarę państwa, lecz jej w żadnym razie przyjąćbyśmy nie mogli... Myślałem już o tem — najmiemy dworek w miasteczku. Żabicki to ułatwi.

— Ale w tej chwili hrabiny ruszyć z tamtąd niepodobna! zawołał prezes — to grozi jej życiu!

Zdzisław zakrył sobie oczy...

— Bóg, który nas tak dotknął, może też choć tem nas pocieszy... da jej siły...

Wszyscy milczeli, bo wszyscy mało bardzo mieli nadziei. Stasia się krzątała, patrząc z dala z litosną siostry miłosierdzia na Zdzisława, którego twarz strasznie już była zmieniona. Piękny ten kwiatek tak długo pod szkłem chowany, za pierwszym powiewem ostrym, zdawał się wędnać i niszczyć... Twarz miał zapadłą—oczy świecące gorączką, rumieniec młodości zastąpiły plamy rozpalone. Cały wieczór spędzili tak na urywanej, cichej rozmowie. Tu Zdzis się czuł, jak w domu, i w duszy nie mógł nie porównywać przyjęcia pod tą ubogą strzechą ze spotkaniem swem z Mangoldami. A jednak wspomnienie owych czarownych oczek Elsy gonilo za nim jeszcze—i tu nawet.

Do północy mówili z prezesem, Zdzis zasnął potem snem kamiennym, ale do dnia się przebulził i zerwał, bo chciał natychmiast biedz do Samoborów, żeby prędzej matkę zobaczyć. Ponieważ najęte konie, odeszły były, a kapitana prosić nie śmiał o nie, postanowił przez ogród wymknąć się pieszo. Ranek był pogodny i piękny jak za dni szczęśliwszych... ale Zdzis słońca nie widział i powietrza nie czuł w piersi... Już dobiegał do furtki, gdy posłyszał głos za sobą—Stasia go wołała z okna rozkazując, aby się wrócił na śniadanie.

— Chodź pan zaraz —rano jeszcze... Kawa gotowa ojciec mój z nią czeka...

Wydała mu się piękniejszą niż kiedy, i głos jej słodszy — nie mógł się oprzeć, powrócił. Kapitana w istocie nie było, bo się oddalił do gospodarstwa, we dwoje więc zostali z gospośnią, której szczebiotanie, nieco teraz umiarkownisze, uspakajało dziwnie Zdzisława... Wróciło mu wiarę w człowieka i serce ludz-

kie. Był jej wdzięczny za to tylko. że ją czuł dobrą i niezmienną

— A—pani. rzekł zegnając ją — pani nie wiesz, jakie mi wyświadczyłaś dobrodziejstwo.. Bałem się oszaleć, widząc do koła tak zmieniony świat i ludzi...

— Muie pan nigdy nie znajdziesz inną — odparła Stasia skromnie — możesz nam zaufać—a! gdyby w naszej było mocyl

I lzy zakręciły się jej w oczach.

Zdzisław pochwycił rączkę drżącą.

— Przecież i nieszczęście się na coś zdało, rzekł cicho—dozwala ludzi ocenić... Przypomnij pani ten ostatni wieczór tłumny, wesoły. w którym wszyscy tak się nam oświadcza!i z przyjaźnią—a iluż dziś zostało?

— Ci—co się wcale nie oświadcza!i! dodała Stasia cicho...

Króciuchna ta rozmowa uzbroiła Zdzisławą, wlała weń znowu trochę otuchy i wiary — pożegnał dziewczę uśmiechające mu się smutnie, i pobiegł znajomą sieżyną do Samoborów... tą samą, którą Stasia z ojcem w przeddzień wieczoru pamiętnego, przybiegła się dowiadywać, jaką miała włożyć sukienkę...

Droga ta wiodła około kilku dworków przytykających do parku. w których mieszkali starzy gracyaliści, między innymi i poczciwy stary dziwak Huba—co się naówczas sunł gderząc po ogrodzie. Był to najdawniejszy sługa domu... Zdzisław przypomniał go sobie teraz dopiero. i zdziwił się, że go ani widział. ani zasłyszał o nim.

Ścieżka którą szedł do furty — przesuwiała się około samych drzwi dworku. Zdzisław postanowił wstąpić do niego... Zdawa! już widział nie tylko okien-

nice, ale okna w nim otwarte. Dwa stare kasztany osłaniały skromny domek. Na widok jego, Zdzisława przeszedł dreszcz. nie wiedział bowiem czy dożywotnie prawo Huby było jakim zapisem zapewnione i czy ten nawet mógł się utrzymać. Cóż się stać miało ze staruszką? gdzie on się miał podziąć wygnany?

W tych myślach zbliżył się Zdzis do pustego dworku... Przede drzwiami kupka wiorów stolarskich leżała... Sień stała otworem... od sieni wniście do izby głównej także... W pośrodku niej na tapczaniku ubogim, w żółtej sosnowej trumience. ubrany w siwą kapotę, z białą twarzą. z krzyżem w rękach.. spoczywał Huba. który upadku państwa swoich nie przeżył...

Dwie cienkie świeczki paliły się przy trumnie, i kościelna babka drzemała z różańcem w ręku...

Widok ten dreszczem przejął Zdzisława. który kląkł w progu się pomodlić i nie wstydził zapłakać.

Była to jedna z ofiar tej katastrofy, jaka ich dotknęła.

Huba leżał z twarzą tak spokojną i rozjaśnioną, tak po chrześcijańsku uspioną, jakby skonał w błogich nadziejach. że swym zgonem zapłaci za wszystkich. Pustka we dworku, otwarte okna, milczenie... uspiona babka i czarne psisko chude kręcące się po izbie... napęliły Zdzisia takim wrażeniem smutku, iż długo jak przykuty do tego grobowego widoku podnieść się nie mógł. Wstał nareszcie i znaną drogą wszedł do parku.

Tu także nowe gospodarstwo było już znaczące: drzewa stuletnie zaczęto rąbać, kilka ich leżało na trawnikach, zawałając gałęzmi przestrzeń ogromną.

Garbns ze wściekłością brał się do niszczenia... rękę jego znać było wszędzie. Ogród zaniedbany był i pusty... ludzie dozorujący rozpedzeni, bydło dworskie pasło się tratując klomby i kwiaty...

Śpiesznie przebiegłszy park, Zdzisław zbliżył się do pokojów matki.... Znalazł tu Żabickiego i doktora siedzących w milczeniu posepuem. Przywitali go nie mówiąc słowa. Z sąsiedniego pokoju, w którym leżała hrabina, nie slychać było żadnego poruszenia...

— Jak się ma matka? zapytał Zdzisł żywo.

— Śpi—śpi jeszcze—rzekł doktor...

Rozmowa była niemożliwa – skupieni około stołu siedzieli w oczekiwaniu i milczeniu, dopóki panna Róża nie wyszła. Po jej twarzy poznać było można, że dobrych z sobą wieści nie przynosiła. . Cicho poszeptali coś z doktorem, który na Zdzisia spojrział z politowaniem.

— Nie mógłbym wejść? zapytał syn.

— Przygotuj się pan do smutnego widoku, odparł doktor ściskając jego rękę. Hrabina nie odzyskała przytomności dotąd... Jedną pannę Różę zdaje się poznawać...

To mówiąc zlekka uchylił drzwi... Okna były prawie całkiem zapuszczone, mały promyk światła rozjaśniał nieco sypialnię w nieładzie, pełną flaszek z lekarstw, bielizny, i najróżniejszych sprzętów... Na łóżku, ktorego odstony były podnoszone, twarzą do poduszki leżała hrabina z włosami rozpuszczonemi w nieładzie... Białą jej wychudłą rękę tylko widać było z pod twarzy.

Zdzisław wszedł na palcach, i nie słuchając już



nikogo, posunął się do łóżka, przy którym ukląkł, pochwycił rękę matki i namiętnie całować ją zaczął...

Zdawała się jak martwa nie czuć tych ust gorących syna, potem drgnęła, podniosła się z wolna głowa, której powieki były zamknięte, potem odsłoniły się zwolna oczy i nieruchomie wlepiły w twarz Zdzisia... Czuł oddech jej coraz szybszy nad sobą . potem drgnienie i obie ręce konwulsyjnie pochwyciły go za szyję, krzyk dziki, dziwny wyrwał się z piersi:

— Zdziś! Zdziś!

— To ja, mamó, to ja! szeptał rozplakany...

— A! to ty! gdzie ja jestem? có się stało? poczęła słabym głosem. przychodząc do przytomności hrabina...

Doktor i panna Róża zbliżyli się żywo, prosząc, ażeby się nie męczyła... Przestala mówić, ale ręką pochwyciła syna i nie puszczała go od siebie. Chwila tak spłynęła w milczeniu uroczystem. Zmiana, którą wywarło wrażenie. zdawała się doktorowi szczęśliwą; zalecał spokój, zakazał wszelkiego o wypadkach wspomnienia...

Kilka razy słabym głosem zapytała hrabina o przeszłość, której sobie przypomnieć nie mogła. Doktor prosił jej, ażeby była spokojną; panna Róża zapewniła, że nic nie zaszło i że tylko pani była chora.

Przyniesiono trochę bulionu, którego zaledwie skosztować mogła chora... trzymając tak rękę Zdzisia usnęła wprędce... Sen nie trwał nad minut kilka, po krzepiona nim otwarła oczy, aby patrzeć na syna znowu...

Nadzieja polepszenia. ocalenia nawet wstąpiła w serca. Szło tylko o to ażeby przygotowana do wy-



jazdu, sił do niego nabrać mogła. Lekarz, panna Róża, wszyscy widzieli konieczność wyprowadzenia się z Samoborów. Łatwym do tego pozorem być mogło, iż się do doktora i apteki zbliżyć należało. Zdziś nie zwlekając wysłał Żabickiego dla najęcia dworku w mieście, który panna Róża z pomocą sprzętów pozostałych w sypialni pojechać miała urządzić.

Po kilka razy dopytywała hrabina o przyczynę swej choroby. jakby widmo czegoś przerażającego przypominając sobie. Panna Róża potrafiła ją wytłómaczyć wzruszeniem po odjeździe Zdzisława..

— Nie trzeba było Zdzisia zawracać... jabym może i tak wyzdrowiała... niech jedzie się uczyć..

Zwolna wracały władze... przytomność i pamięć, — ku wieczorowi lepiej znacznie było hrabinie; doktor wszakże zalecał, jak największą ostrożność. Ona sama troszczyła się tylko o syna. chciała, by wypoczął, odpędzała go prawie, dopytywała o służę, których już znacznej części nie było — rozkazywała i rozporządzała wszystkiem dla wygody Zdzisia.. Obiecywano jej spełnić rozkazy i uspakajano jak było można.

Młody hrabia nie wychodząc przez cały dzień z tych dwóch pokoiów. matki unikał szczęśliwie spotkania ze stryjem, który tego dnia powrócił z folwarku i zajął się pustoszeniem ogrodu i dziedzińca... Najęci robotnicy obalali parkany, wycinali drzewa, zakopywali drogi... P. Sebastian zwijał się sam około pałacu, i przez ludzi swych zawiadomiony o przybyciu młodego panicza, szukał widocznie spotkania z nim, któremu Żabicki i doktor chcieli zapobiedz..

Udało się to szczęśliwie. gdyż wieczorem garbaty poszedł do swego mieszkania w officynie, a Zdzi-

sława pod strażą Żabickiego odprawiono do Wólki... Doktor przewidywał, że jeżeli konwalescencja pójdzie szczęśliwie, za dni kilka hrabina będzie się mogła przenieść do miasteczka.

Podróż powozem była dla niej przykrą i ciężką, lecz prezes, który miał u siebie w domu starą saską lektykę, choć od wieków nie używaną, ofiarował się ją sprowadzić, w niej chora wygodnie przeniesioną być mogła powoli. Było to tem bardziej dogodne, że konie i powozy zostały zabrane wespół z innemi ruchomościami, a prosić o nie nikt nie chciał—użyć zaś cudzych było to w hrabinie obudzić podejrzenie i przypomnienie katastrofy. Zdzisław więc i dla tego udał się do Wólki, aby posłać zaraz po przyobiecanaą lektykę.

Tu już wiadano o polepszeniu zdrowia hrabiny Julii, i prezes znacznie był weselszy... Stasia z uśmiechem przywitała gościa, winszując mu szczerze... Zdzisław jednak powrócił tego dnia smutniejszy niemal niż wczoraj. Widok zwłok biednego Huby, zniszczenia w ogrodzie, nasłuchanie się opowiadań o garbusie, wrażenie u łóża matki oddziaływały nań silnie. Stasia napróżno myśl jego starała się odciągnąć od tych przedmiotów, do których ciągle powracał.

Wieczór zszedł milcząco i smutnie; rozeszli się wszyscy jakby pod groźbą klęsk nowych.

Zdzisław chciał spać tylko do świtu i powracać znowu do matki, która spytać o niego mogła. Położył się więc nierozebrany w pokoju prezesa i tak usnął na godzin kilka. Pierwszy brzask go obudził, Tym razem nikogo nie spotkawszy, bo wszyscy spali

jeszcze, udało mu się wymknąć z gościnnego dworku tą samą drogą co wczora...

Domek Huby był zamknięty i opieczętowany. gdyż pogrzeb się już odbył.. W parku słysząc siekiery i nie chcąc patrzeć na barbarzyńskie zniszczenie. Zdzisław obszedł do koła. Musiał w ten sposób przechodzić przez folwark, gdzie właśnie około toków gromadzili się ludzie do roboty. Widok młodego panicza, który był ulubieńcem wiesniaków, natychmiast ściągnął ich na drogę. Poczęli go witać z tem współczuciem pełnem godności, jakie nasi wieśniacy zachować umieją, gdy ich serce przemówi. Zdzisław zatrzymał się chwilę, chcąc odpłacić dobrem słowem, gdy z przeciwnej strony ukazał się biegnący z kijem w ręku, w sukmanie, długich butach i czapce baraniej garbus, którego łatwo domyślił się z opisu Zdzisław.

Chcąc uniknąć spotkania z nim, pożegnał prędko ludzi i zboczył w stronę.. Garbus zdawał się go przeciwnie szukać, i zdawał, już, domyśliwszy się też, iskrzącemi, szyderskimi mierzył oczyma. Wymknęła mu się jedna ofiara, hrabina, którą słabość obroniła od zetknięcia się z nim; nad drugą przynajmniej chciał się napastwić.

Zdzisław uchodził dosyć żywo, znajomą sobie ścieżką ku pałacowi, gdy garbus przeciął mu drogę i stanął przed nim.

— Pana hrabiego Zdzisława mam honor? zawołał rękę przytykając do czapki z wyrazem szyderstwa.

— Tak jest—odparł krótko Zdzisław.

— A to dobrze, żeśmy się spotkali — boć przecie trzeba się rozmówić—dodał bełkocząc z gniewu i pośpiechu, lecz usiłując się opanować powoli. Państwo

mi tu przeszkadzacie.. Matka mi izby zajmuje, waćpan się tu włóczysz, gdzie już nogą stąpić nie masz prawa. Mówilem przez ludzi, powtarzam w oczy: fora ze dwora i to żywol Cierpię jeszcze, ale tego długo nie będzie. Nie chcę tu was! rozumiesz waszeć, panie hrabio?

Zdzisław, który w życiu podobnej mowy nie słyszał, nie wyobrażał sobie, żeby do nieznajomego mógł się kto widząc go po raz pierwszy tak odezwać — stanął bledniejąc tak zmieszany, jakby w niego piorun uderzył. Nie umiał odpowiedzieć.

Garbus patrzył nań, przyglądał mu się od stóp do głowy go mierząc szydersko — śmiał się i mówił dalej:

— Wy mnie nie znacie — ja nie jestem jak wy ani miękki, ani dobry, ja nie umiem kochać psów i płakać nad papugami, a brata przesładować — ja kłusam, biję, przesładuję, mszczę się ale jawnie... Ja was tu nie chcę, bo was i cały go plemienia waszego nienawidzę — brzydzę się niem... Precz ztąd! precz! rozumiesz mnie panie hrabio... Wy hrabiowie, ja chłop, ja po chłopsku sprawy kończę...

— Gdyby nie łabosć mojej matki, czerwieniejąc się i cały w płomieniach zawołał Zdzisław — dawnoby nas tu nie było... pójdziemy... nie bój się pan.

Chciał się ruszać — garbus zaparł drogę z zaciętością zbliżając się ku niemu...

— Tak — idźcie... pozwalam wam zabrać koszułę, i to łaska, mógłbym i tych nie dać! Czem wy mi zapłacicie za kilkadziesiąt lat cierpliwości, upokorzenia i krzywdy znoszonej w milczeniu? czem? Wszystkiego

co macie nie stało na zapłacenie mi! Mało! Gdybyście gardłem płacili, mało,—nędzą waszą, mało...

Zdzisław spojrział jak na szalonego, wstrzymał się od odpowiedzi. Pomimo młodości swej potrafił się powściągnąć. i z pewną pogardą a wyższością zmierzzył tylko wzrokiem miotającego się starca...

— To co masz na sobie. powinienesz rzucić—bo to nie twoje.. wołał garbaty — wy tu nie macie nic! a co weźmiecie, to mi ukradniecie jak złodzieje...

Zdzisław się wstrząsł cały. ręce zacisnął.

— Nie zmuszaj mnie pan do gwałtu! zawołał — nie chcę się go dopuścić, ale się lżyć nie dam.. Dosyćby mi było pochwycić cię za gardło, skinąć na ludzi.. starłbym cię na miazgę. Puszczaj mnie...

— Tego nie uczynisz. paniczku — pieniać się nie-mał zawołał garbus — ludzie wiedzą czem to pachnie i nie ruszą się, a ciebie, gdybyś się porwał, jabym zdusił, bom silniejszy...

Ale ci to wybaczam, cha! cha! — boć niemiło gdy komu w oczy pluną złodziejem—a za takiego cię będę miał, jeśli mi szpilkę ztąd wykraść zechcecie...

— Matka moja zabierze co jest jej i co do niej należy — odparł Zdzisław dumnie; ja od was nie potrzebuję nic, nie proszę was o nic; gdybym z waszej ręki miał co przyjąć, wołałbym z głodu umierać. Wy nie jesteście człowiekiem...

— Aha! nie—odparł Sebastian biorąc się w boki— takim jak wy. nie—ślamazarnym hrabią nie jestem—chłopska natura, która mówi co myśli i robi co powie.. Gładkich słów nie umiem, nie uczyli mnie to nie moja wina... Cierpiałem chłód i głód... musicie i wy ich skosztować... ząb za ząb...

Zdzisław nie chcąc go dłużej słuchać — z wolna zawrócił w bok, obszedł i ruszył bez ścieżki ku pałacowi, ale garbn<sup>2</sup> w ślad szedł z nim. .

— Długo wy tu siedzieć myślicie?

— Spytajcie doktora — rzekł Zdzisław.

— Ja was znam. — hrabina chora nie chora, dyabeł wam uwierzy; chcecie siedzieć, aby ztąd powyciągać co można. Rozumiem ja to — ale moi ludzie pilnują...

Bez odpowiedzi, drżący, milcząc szedł Zdzisław, za sobą wciąż słysząc kroki i głos ten szyderski, niełitościwy rozlegający się dziko... Zawracało mu się w głowie. Uczucia, jakie ten człowiek rozbudzał w nim, nigdy się jeszcze w duszy nie zrodziły przedtem. Zdzisław nie miał ani powodu, ani usposobienia do gniewu. Te pierwociny paliły go jak płomień, dawały mu wewnętrzności — nie poznawał siebie... Starannie pielęgnowany i strzeżony dorósł do męskiego wieku nie skosztowawszy cierpkich owoców tego stanu ducha... Z szatańską zaciętością stary zdając się odgadywać położenie Zdzisława, jego męczarnię — zmagał się, aby ją powiększyć...

— Więc mi się bo prędzej ztąd wynosić — kończył garbus... Każę wam nad głowami dach rąbać, bo ja tego waszego pałacu nie ścierpię... Kamienia na kamieniu nie zostawię, zburzę, solą posypię, zniszczę.

Zdzisław milczał. zdawało się to powiększać jego wściekłość...

Pieścili się tu na cndzem, na wydartem. rozkoszowali panowie hrabiowie? Zkąd wasze hrabstwo?? Kto was hrabiami porobił?... I to wam odbiorę... nie ścierpię. Sprzedacie się za ten tytuł... tego wam nie zostawię na frymark. Dowiodę w heroldyi, żeście ni-

gdy nie byli hrabiami. Kiepska szlachta jak i ja; ale ja chłop! ja chłop! i was chłopami porobię...

Zbliżając się ku pałacowi, Zdzisław zaczął tak przyspieszać kroku, iż garbusa krzyczącego za sobą zostawił. Słyszając jeszcze jego pogróżki i wymysłania... nie chcąc na nie odpowiadać, ani się obejrzeć... Wpadł do przedpokoiku matki w takim stanie, iż bezprzytomny prawie upadł na kanapkę. Żabicki się domyślił powodu... i zaciął usta gniewnie; doktor zaczerwiecił się cały. Nie było wyrazu na oznaczenie tego postępowania. Zdzisław łamiąc ręce zaklinał, ażeby można ztąd jak najrychlej uciekać.

— Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na nikogo, odezwał się; nie przypuszczałem wypadku, w którymbym to mógł uczynić: a dziś zagrożony zostałem koniecznością... domierzenia sobie samemu sprawiedliwości.

— Kto? wy? zawołał Żabicki—wy?

— Tak—sam się wstydzę siebie—i nie poznaję, dodał Zdzisław. . Była chwila, żem się chciał—rzucić na niego.

Znając Zdzisia, zdawało się tak dalece niepodobieństwem, że Żabicki usta sobie zasłonił, śmiejąc się.

— Szczęściem, żem w czas ochłonął, mówił Zdzisław... alem mu to powiedział przynajmniej. Staliśmy o kilkanaście kroków od gromady robotników, gdybym był skinął, ruszył się—staryby przepadł...

— Aż do tego więc doszło! przestając się już śmiać odezwał się Żabicki...

— Zmusił mnie do tego! Wszystkich nas nazywał złodziejami... Musiałem przypomnieć to, że jest moim



stryjem, że matka leży chora, że ja tu potrzebny... aby nie popełnić—występku.

— Jest to wypadek bardzo przykry. odezwał się po namyśle Żabicki—ale wiesz pan, panie Zdzisławie, co ja powiem? To wypadek szczęśliwy: poczułeś się mężczyzną choćby oburzeniem i gniewem. w obronie honoru. zrozumiesz teraz, iż w życiu serce mieć można pieszczone. ale ręce potrzeba okuć żelazem... ażeby od napaści obronić siebie i swoich!! Pojmiesz, że są wypadki. w których człowiek musi się prawie stać zwierzęciem...

— Pozwól mi wierzyć, że to wypadek wyjątkowy, jak człowiek... rzekł Zdziś.

— W tej formie — zapewne — odparł Żabicki; ale mniej wściekłych. a równie złych spotkasz hrabia w życiu niemal na każdym kroku.

— Jak skoro matka znieść będzie mogła podróż—zaklinam. proszę. błagam — uciekajmy ztąd! dodał Zdzisław... Uchodźmy.

Skutkiem tego spotkania z garbusem było że doktor widząc także niebezpieczeństwo pozostania tu dłużej. bo któż mógł zapewnić, ażeby garbus nie targnął się na spokój samej hrabiny? postanowił trzeciego dnia ułożyć powolnie przeniesienie w lektyce do miasteczka. Tegoż dnia panna Róża musiała jechać przygotować mieszkanie. a gdy przyszło do tego smutnego opuszczenia Sanoborów—gdy lektyka stała już u drzwi. musiał doktor. Żabicki, prezes. kapitan postawić strażę dokoła i sami otoczyli ganek. aby p. Sebastian nie napadł chorej i nie dobił jakim słowem złośliwym Zdzisław szedł pieszo przy matce, zapuszczono firanki myślnie, i z tym żalobnym pochodem



poszli wszyscy daleko za dwór w ulice, aby zapewnić się, że garbusa nie spotkają.

Zdzisław nie pozwolił nic zabierać z domu. Nie było dla matki konieczne. Sam on porzucił rzeczy swoje na łup napastnikowi. aby mu nic nie było winnym.

Gdy lektyka uiesiona powoli przez dwóch dwor-  
wnych sług dworu, ruszyła z przed ganku, — go-  
znajdował się u drzwi oficyny. zdawało się, że  
ży i zaskoczy drogę, co byłoby nieochybnie  
wywołało zajście. Musiał to przewidzieć, spo-  
szy groźne postacie stojące dokola, zachow-  
wiem biernie. Z rękami w kieszeniach stał w  
oficyny i patrzył tylko szydersko się u-  
Lektyka nie

nie odbie-

Późnym wieczorem zbliżył się orszak towarzy-  
cy hrabinie do miasteczka. Mieszkańcy, którzy za-  
szeli o jej przybyciu, wybiegli wszyscy z ciekawo-  
ścią i współczuciem przypatrzeć się temu obrazowi  
tych kolei losu. Znano hrabinę z jej mnogich do-  
stępnych czynków i wdzięcznej pańskiej powierzchowno-  
ści. Nie miała nieprzyjaciół -- upadek tego domu  
wzbudził podziwienie i litość. Ludzie pojąć nie mogli,  
jak ona, która się zdawała im najmajętniejszą  
i najszczęśliwszą, nagle postradała wszystko i wygnana zo-  
stała z jej siedziby. W zaieżdym domu u Boru-  
chowskich, gdzie mieszkanie na-  
leżało do niej, została tylko pusty dom.

małego wzrostu organista. człowieczek bardzo ożywionej fizyonomii i gadatliwy. prowadził rozprawy. W wytartej opończy, chudy i łysy leśniczy, niegdyś w Samoborach mieszkający, dodawał komentarze—i sprostowania. Pod piecem dwie gosposie z założonymi rękami przysłuchiwały się z daleka. szepcząc coś z sobą po cichu.

— Co to gadać—odezwał się jeden z mieszczan. którego nos dowodził, że lubił pociągnąć — co to gadać! ludzie padają jak muchy—dziś pan, jutro żebrak... Palec boży! palec boży!

— A cóż mi przecie zrobili?—przerwał drugi — takie uczciwe państwo, że daj Boże im najwięcej podobnych...

— Oni nie zrobili—a no, pono dziadek czy pradziadek—narobił—acan wiesz co w Piśmie Świętem stoi... za grzechy ojców.

— Tylko z Pismem Świętem radzę ostrożnie. przerwał śmiejąc się organista — nie waszym nosem...

Mieszczanin spojrział z ukosa i zamilkł.

— A dla nas to, dodał drugi — niemała kłeska, że ich w Samoborach nie stanie. Bywało człek drzewo potrzebował na budowę, cegły na piec, albo co podobnego, poszedł, i nie trzeba się było bardzo kłaniać; nietylko że sprzedali i tanio i na poczekanie dla biednego, a no i poczęstowali i z pocziwem odpuścili słowem...

— A cóż asan wiesz—rzekł stając Bornch—czy ich następca jeszcze lepszy nie będzie? Chodzi w prostej świcie jak chłop.

— Ech! mój panie arendarzu—przerwał mieszczanin — już jak pan przebiera się po chłopsku, a chłop ndaje pana, to zawsze dyabła warto... A to słyszę człek, ani przystępu, jak wściekły... Czy to po chrześcijańsku, czy to po ludzku tak się znęcać nad tą biedną kobietą i chłopcem?... Toż on im słyszę koszuli nie chciał na grzbiecie zostawić.

— Et—plotą! rzekł drugi... Pany nigdy nie przepadają! Jak koty choćby z trzeciego piętra spadli, zawsze na nogi...

Poczęli się śmiać wszyscy.

— Nie—już to, że nowy przybysz —czysty dyabeł— zawołał organista — to prawda święta. Widział go kto z was jak to wygląda? Garbaty, twarz straszna, ogromna, a jak gada to pieni i oczy mu się świecą by u zwierza... Urzędnicy, co z nim na grunt jeździli, opowiadali proboszczowi, że takiego dzikiego człeka jeszcze z nich żaden nie widział.

— A oni to lepsi! pchi! mruknął po cichu drugi mieszczanin i nsta zatulił.

— Albo to rozum i serce, mosanie — mówił organista—żeby ogród w pień ciąć, a pałac walić...

— Albo to prawda?

— Ono to taka prawda, że ogród już tną, a mury już walą, tak mi Boże dopomóż! odezwał się organista.

— Że zły to zły! szepnęli mieszczenie

— Patrzajcież oto idą! oto idą!!

Wszystko co żyło pobiegło do drzwi i okien.

Ulicą niesiono osłoniętą, starą, wytartą, odrapaną lektykę, na której bokach, jakby szyderstwo losu odmalowano dwie sceny z maskarady weneckiej... Sil-

nych dwóch sług mieniało się na przemiany z dwoma parobkami idącymi nieco dalej.

Z jednej trony lektyki szedł Zdziś w szarym surducie. ubrany jak mn teraz przystało ubogo i skromnie, z drugiej panna Róża osłonią chustką. schylona i poglądająca co chwila przez okno do wnętrza lektyki. Zaraz za nimi jechał prezes na małym niskim wózku parą drobnych koników. Kapitan od wrót miasteczka szedł przy nim pieszo, prowadząc konia w rękę... Na wozie trochę sprzętu. rzeczy bielizny, przykrytych dywanikami ciągnęły dwa wiesniacze konie. Kilku ludzi z dawnej służby towarzyszyło swej pani, w ostatku szedł stary powóz hrabiny, bo ten tylko wydać jej kazano, ze czterema końmi foral-skimi, najgorszemi jakie się wybrać udało. Piaszczy-stą ulicą mieściny musiano iść powoli. ludzie też byli pomęczeni.... Niezwyczajnością widoku ściągnięte dzieci miejskie z daleka biegły po obu stronach przypatrując się lektyce i towarzyszącym jej osobom. Od Borucha wskazywano je palcami.

— Oto co im zostało przyjaciół teraz—mówił patetycznie organista — stary prezes Mohyla. który na wózku jedzie. kapitan Porowski co za sobą konia prowadzi—doktor—trochę służby... ot i tyle—a w szczę-ściu mieli aż do zbytku pochlebców i lizilapów. Ono to tak na świecie.

— Co nowego powiedział! mruknął mieszczanin—taki porządek... nie dziwota. Gdyby inaczej było trzebaby się dziwić.

I co ten chłopiec pocnie? — kończył nie zważa-jąc organista -- bo to ja wiem jak się to wychowywa-

to... szybki z okna. kaffi z pieca gdyby zażądał. dawali. Pieszczono to i delikatne jak panienka.

— Pany nigdy nie giną — powtórzył mieszczanin — da on sobie radę... Jabym się jeszcze na jego biedę mieniał...

— At, nie pletlibyście. panie Macieju — lepiej ci z tem co masz, niż nieborakowi co wczoraj wszystko miał, a jutro nic mieć nie będzie — Pana Boga nie obrażaj.

Gdy tak gwarzą. a lektyka się posnwa z wolna, od strony Samohorów, taż samą drogą w tumanie kurzawy. pokazał się wóz. który wszystkich ściągnął oczy.

Pierwszy organista zawołał:

— Ato ta bestya garbus jedzie:

— Żeby patrzeć i nasycić się tem co zrobił — dodał drugi — a toż o pomstę wola do Boga...

Wychyliłi się wszyscy. niektórzy powybiegali aż w ulicę. W istacie jechał wozem swym. ale engowemi paradnemi kołniami z pałacn wziętemi p. Sebastyan... ciekawemi oczyma z podniesioną głową przypatrując się pochodowi. a niekiedy spoglądając na gromadzące się pospólstwo. Czapkę baranią włożył na bakier i minę miał bitną a szyderską.

Kapitan pierwszy go postrzegł i szepnął prezesowi, który żywo głowę odwrócił; ludzie idący między sobą po cichu zaczęli mruczeć wskazując palcami... Idący koło lektyki nie mieli go czasu zobaczyć. bo właśnie wchodzili w boczną ulicę do dworku wiodącą, a wóz garbatego, zatrzymał się przed Boruchem...

Jakkolwiek ciekawi, wszyscy na widok wysiadającego pierzchnęli, rozstępując się szeroko jak przed

zapowietrzonym; arendarz nawet cofnął się do alkie rza... Musiał p. Sebastian dojrzeć tego, bo zeskakując rażno z wozu. począł się dziwnie śmiać.

Strzepnął sukmanę, przeciągnął się. stanął i na pochód patrzył.

Groźnemi oczyma go mierzono...

Kilka razy się odwrócił, jakby miał ochotę z kim rozmowę począć, ale ludzie się widocznie uchyłali—stał więc sam...

Po chwili coś powiedziawszy do woźnicy. ruszył z miejsca i wolnym krokiem poszedł, kijem się podpierając—za lektyką.

— Jeśli, uchwaj Boże, słowo mi tu piśnie. zgniotę go—mrucał kapitan, trzęsąc się z gniewu.

Odgroźki tej nikt nie posłyszał oprócz prezesa, ale tem samem uczuciem poruszyło się mieszczaństwo przed Boruchem.

— Żeby on tu jeszcze śmiał się znęcać nad nimi... zawołał organista.

— Niedoczekanie jego—przerwał mieszczanin—nie dany im na naszym gruncie zrobić krzywdy.. Mospanowie bracia... na wilka!! a nu!

Tej iskierki tylko było potrzeba. ażeby tłum poruszyć: runęło co żyło za pierwszym z panów mieszczan... w pogoń za garbusem. który szedł bokiem przyspieszając kroku, aby—jak się zdawało—zrównać się z lektyką. Ani się spostrzegł, jak go tłum napędził, otoczył i osaczył — mieli czas mieszczenie narażać się z sobą.

— Nie puścić go dalej! zakomenderował przewoźnicy—póki z lektyką do dworku nie wnijdą..

Posłyszawszy za sobą kroki. garbaty stanął i obejrzał się. W tej chwili dzieci. chłopcy i starzy zabiegli mu z przodu, aby się ruszyć dalej nie mógł. Widząc się tak osaczonym i zrozumiałwszy co się dzieje. garbus kij podniósł. Zaledwie to zobaczono w tłumie. zaszumiało i warknęło.

— Puszczajcie mnie—odezwał się Sebastyan.

Napiły mieszczanin. ogromnego wzrostu barczysty mężczyzna. stanął naprzeciw i nogami się rozparł.

— Ani kroku dalej! zawołał—ani kroku... Jeszcze ci to mało było tam się nad biednymi znęcać. toś na nasz grunt przyszedł burdy wyprawiać. A no dość — nie damy...

Garbus spojrzał z podełba.

— Wolna droga każdemu. . odparł.

— Nie prawda—kto złe idzie robić, temu drogę kołami zabijają...

— Złe? a któż wam powiedział co ja robić idę? ..

— El paneńku —przerwał drugi — albo to my głupi i swojego rozumu nie mamy...?

Zapłonęła twarz staremu. chciał przebojem się cisnąć — ale drogę mu zapierano, a tłum nie żartem warczał i odgrażał się... Niektórzy chwytały go już za poły, a jeden się i do kołnierza brał, gdy siwintienki starzec wubogiej sukni księżej pokazał się wulicy...

Był to zgrzybiały dziadek. z pochylonemi ramionami. twarzą pomarszczoną i jakby pociętą na drobne kawałki. lecz poruszający się dosyć żywo małutkimi krokami. Staruszek zobaczywszy ciżbę, a w pośrodku niej napastowanego człowieka, jeszcze prędzej zaczął, a że mu wszyscy z uszanowaniem ustępowali, docisnął się do garbusa, któremu w milczeniu przypa-



trywać się zaczął. Coś mu się zdawało przypominać z przeszłości.

Odwrócił się do mieszczan.

— Czego napastujecie?... czego? Czy wam nie wstyd? za co? chyba że go Pan Bóg garbem pokarał? Zaraz mi się rozejść...

Ale, ojcie dobrodzieju, całując w rękę i pochylając się ku staruszkowi począł mieszczanin. jakby poufnie—my nie napastujemy... to on tę nieszczęśliwą hrabinę z Samoborów. którą wypędził, jeszcze tu chciał sekować—tośmy nie dali.

Staruszek popatrzał na garbusa, który mileżał coś w ustach przeżuwając.

— Dajcie mu pokój — a no! dosyć—do domów... Chodź wasze ze mną... chodź ze mną—odezwał się do garbatego—chodź ze mną, chcesz li być cały, dodał po raz trzeci.

Pan Sebastyan mruczając usłuchał, tłum się rozstąpił, ale wyczekawszy chwilę począł ciągnąć w ślad za starcem wiodącym z sobą garbusa... O kilkanaście kroków od tego miejsca, w którym się to działo, była furta prowadząca na cmentarz otaczający parafialny kościół, osadzony staremi czarnemi świerkami. Staruszek pusił przodem garbatego, sam wszedł za nim i furte za sobą mocno zatrzaskał.

Znaleźli się wśród cichej zagrody, wśród której gdzieś niedaleko między świerkami widać było porozwalane groby i krzyże. Pomiędzy niemi sunęła się drożyna wydeptana ku plebanii.

Stary spojrzał na swojego towarzysza.

— Nie życząc wacpanu zaraz wracać, ludziska rozjątrzeni... należy poczekać aż ochłona i rozejdą się...

Na cmentarzu nie wesoło. proszę do mnie. jeśli łaska... Ale u starego inwalida... izdebka ciasna... Ja tu ani proboszczem już. ani niczem nie jestem, choć byłem długo wszystkim... Zrezygnowałem. emeryt siedzę na łasce i modlę się o dobrą śmierć do świętego Józefa... patrona mego...

Mówiąc to wpatrywał się w twarz garbatego. który stał jeszcze z gniewu nie ochłonawszy...

— Proszę, proszę—dodał staruszek.

Coś zamruczawszy garbus poszedł...

Dawny proboszcz, dziś żyjący dobrowolnie jak pustelnik. miał tylko małą i ubogą niby celkę klasztorną. Znać w niej było tę myśl urządzenia mniszego schronienia, na wzór najbiedniejszych po klasztorach surowej regny...

Tapczanik zasłany cienkim siemnikiem z jedną kołderką welnianą—tuż przy nim klęcznik z trupią głową, krucyfiksem i muóstwem obrazków... dwa stołki drewniane, dzbanek u drzwi, na półce kilka książek—więcej nie było nic. Starzec stołek podsunął, sam u drzwi święconej wody wzięwszy z kropielnicy...

— Siadajcie—rzekł uprzejmie—spoczniejcie...

Garbus się rozglądał do koła...

Starzec w wytartej sutannie. rzuciwszy czapkę na łóżko, przysnął sobie stołek drugi bliżej gościa. patrzył nań. niby czekając czy pierwszy nie pocznie rozmowy... Pan Sebastyan jeszcze przejęty gniewem do słowa przyjść nie miał... Pięści ogromne stłone trzymał na kolanach i patrzył w okno.

— Wszak pan jesteś Sebastyan Samoborski? łagodnie spytał staruszek.

— Tak jest... pomuro rzekł garbaty...

— Mnie sobie nie możesz przypomnieć, bos był mały... ja dziś dziewięćdziesiąty trzeci rok z łaski bożej liczę. Kiedyscie dziećmi byli, jam na kapelanii u pana wojewody, świeć mu panie, pierwsze lata kapłańskiej służby poczynął.

Z ciekawością garbaty wlepił w niego oczy.

— A! to wy, mój księżu, lepiej od innych zrozumiecie i wytłómaczycie, czemu ich z Samoborów wygnałem... i dla czego ich nienawidzę!..

— Ksiądz nic nie odpowiedział—a po małym przestanku zapytał:

— Jakiego pan wyznania...?

— Katolik jestem...

— Doprawdy? odezwał się ksiądz - i—i prześladujesz a nienawidzisz dzieci brata?

— A oni mnie jaki los zgotowali?

— Tak, — i że oni pobiłdzili, asindziej chcesz ich w tem naśladować, a jeśli można do większej jeszcze perfekcyi doprowadzić to, czem zgrzeszyli.

— Sprawiedliwości tylko chciałem i tej doszedłem nareszcie... Ząb za ząb! powtórzył ulubione swe wyrażenie pan Sebastyan.

— Ząb za ząb to żydowskie prawo nie chrześcijańskie — odparł ksiądz spokojnie. Chrzescianie zemstę zostawiają Bogu...

Poruszył się na krześle niespokojnie garbus...

— Daj mi, wasze. pokój z nawracaniem: za stary jestem... z zemstą rosłem, starzałem, zżyłem się z nią—Bóg będzie sądził... ja robię co muszę.

— A! tak, Bóg będzie sądził - bo Bóg sprawiedliwy, mówił staruszek cicho i powoli—*patiens quia aeternus*—tak! tak, mój dobrodzieju! A że spra-

wiedliwy i cierpliwy, powie sobie: — Pan Sebastian za grzechy dziada mścił się na wnukach, więc nic mu nie czynię — poczekam aż dorosną dzieci i wnuczęta niewinne, i na nich wywrę zemstę moją.. Czy waćpan dobrodziej masz dzieci?

Garbaty milczał długo, potem szybko jak wystrzelił, rzekł wyzywająco:

— Mam.

— Bardzo mi ich żal niebożąt! rzekł ksiądz wzdycając..

— Ja myślę że i waszmość. mój księże i drudzy tn. więcej pono tych trutniów pseudo-hrabiów żałujecie niżeli kogo innego —przerwał garbaty

— A! rzeczywiście, my ich tu wszyscy bardzo żałujemy. Ludzie byli bogobojni, miłosierni, dobrzy, łagodzi.

Anioły! rzekł szydersko garbaty i rozśmiał się dziko.

— Nie—ludzie ułomni. ale to już wiele, że ludzie... dodał ksiądz.

— Bo inni, jak ja. to już i tego imienia nie warci śmiejąc się dokńczył p. Sebastian.

Ksiądz zmilczał. westchnął i w okno spojrział..

Garbaty ruszał się, jakby już wstać chciał i iść.

— Życzę się zatrzymać jeszcze — rzekł starszek kładąc mu rękę na ramię —Czekajcie, poszlę chłopaka. aby się rozpatrzył po miasteczku... abyscie nie mieli nieprzyjemności... Ludziskom biednym wybaczyć trzeba choć zbyteczne miesienie, bo z pocziwego płynęło źródła...

Starszek nie wychodząc. w ścianę celi zastu-

kał: na progu zjawił się chłopczyna z elementarzem w ręku.

— Idź, wisusie... przewietrz się, zawołał starszek wesoło do chłopca; pobiegaj po miasteczku i przyjdź mi za kwadras powiedz, czy już tam zbiegowisko to na rynku i po ulicach stało...

Chłopczyk spojrział bystro na księdza, potem na garbusa, musiał się domyślić o co szło i wybiegł.

— Czy asindziej tu mieszkać myślisz? zapytał stary.

— A pewnie w Samoborach, tylko nie w pałacu: pałac zrznęę, ogród wytnę. — w officynie aż nadto paradnie, jam do takich wygod nie nawykł.

— Żeby tylko tu wam dobrze było! westchnął stary.

— Mnie wszędzie dobrze.

— To chwała Bogu — chwała Bogu! i tak być powinno... mówił stary. Jam tylko myślał, że to tu wieśniacy, sąsiedzi, cała okolica bardzo kochała waszych poprzedników.

— To mnie bardzo nienawidzić będzie? podchwycił garbaty. A mnie to co szkodzi? — nienawisc ludzka, to pieprz do mdłej potrawy życia..

— Żeby tylko niezbyt było pieprzno — rzekł ksiądz krótko.

Zamilkł trochę.

— Jak im brzęknę kaletą, pokochają i pogodzą się — szydersko mówił garbaty...

— Nie koniecznie — szepnął starszek... a zresztą, taka kupna miłość niewiele wam osłodzi, a chyba taką mieć będziecie...

— Cóż z tem począć? inaczej być nie może!

— Czemu? zapytał stary — mogłoby być inaczej aleby trzeba Pana Boga się poradzić i Ewangielii.

Pan Sebastyan zmilczał posepnie.

Gorszym mnie już tu czynią może, niż jestem — dodał jakby rozmyśliwszy się po chwili. No — prawda, złym jestem, takim mnie matka na świat wydała... a no — gorsi są odemnie... Nie mogłem się oprzeć pokusie, ukąszenia tych co mnie jedli do siwego włosa — prawda... ale — ot i dziś — myśleli, że idę za hrabiną tą waszą, aby jej dokuczyć lub zaczepić. Nie chciałem tylko pokazać, że jestem — żeby o mnie nie zapomnieli, a — na prawdę nie po to przybyłem do miasteczka... Dziś moja żona i dzieci przyjeżdżają...

Staruszek popatrzał nań.

— Odwadze waszej dziwić się muszę — dołożył — że wy się też o dzieci los nie lękacie...

— Jużem słyszał tę groźbę...

— Nie grożę — lituję się.

Garbaty ręką zamachnął w powietrzu, brwi rozrosłe namarszczył... miał coś odpowiedzieć. gdy chłopak na progu się pokazał.

— No, a co tam?

— Ludzi kupa koło Borucha... straszuie wrzeszczą...

— A co im tam...

— Albo ja wiem! — ino krzyczą, a rękami machają

Stary spojrział na gościa...

— Wiesz asindziej co? — lepiej tu koniom kazać przyjść i po za miasteczkiem do domu..

Skinął nie pytając już na chłopca.

— Konie z wozem z Samoborów żeby na plebanie zaszły... a no — żywo...

— Ale ja bym żony chciał doczekać!

— Lepiej nie czekając jedźcie — ona i sama tam trafi. ludzie drogę pokażą.

— Mój ojciec — wstając zawołał garbaty — to gdybym raz temu tałałajstwu ustąpił, nie dadzą mi na świat wyrzec, będę jak w więzieniu siedział...

— Ono to prawda — odpowiedział staruszek. — ale na to rady nie ma. Wy bez litości jesteście nad rodziną, a ludzie bez miłosierdzia nad wami. Cóż tu na to począc? sami zważcie. Ja wam mówiłem. iż życie dla was w Samoborach niemiłe będzie.

Zmilkzał garbus.

— Czyż dla tego ustąpić?

— Ja wam ani radzę, ani proszę o nic — mówimy sobie... ot tak!

Garbaty wstał i począł się zamyślony przechadzać po celce, w której do takiej przechadzki zbyt mało miejsca było. Ksiądz mu zamyślenia nie przerywał. Poszedł do dzbanka i napił się z niego trochę wody; a potem siadł i patrzył na pana Sebastjana.

Nie mówili do siebie nic, aż do nadejścia chłopaka, który konie zwiastował. Wóz stał w dziedzińcu...

W chwili gdy pożegnawszy staruszkę miał siadać garbus, woźnica się do niego obrócił.

— Chyba miastem nie jechać, bo nas kamieniami obrzuca! zamruczał.

— Po za plebanią! rzekł ksiądz wskazując w lewo, przejedziecie za stodołami mieszczańskimi, aż do gościnnca...

— Ani mi się waź! zakrzyczał garbus — co to ja od tej szni będę uciekał? Środkiem, ulicą, rynkiem, noga za nogą...

— Na miłość boską — po cóż wilka z lasu wywoływać chrecie..

— Natura moja taka, ojczel rozśmiał się garbus. Nie ustępuję!! nikomu!! niech wałą kamieniami, kiedy śmieją i chcą... zobaczymy co będzie.

Zwrócił się do woźnicy i powtórzył:

— Środkiem, rynkiem. noga za nogą.

Pokłoniwszy się zlekka staruszkowi — odjechał..

Jakieby to skutki było pociągnęło za sobą wyrachować trudno, gdyby nie szczególna okoliczność, która może p. Sebastjana i mieszczan od przykrego zajścia uratowała.

Wyjechawszy z plebanii, wóz gdy się ukazał w rynku, postrzeżono go ze wszech stron, a ludzi gromady stały większe niż przedtem... Zakipiało w nich i zaszumiało... garbus z czapką na hakier nieruchomy siedział na wozie i wołał.

— Stępią! noga za nogą!

Tymczasem tłum ruszać się poczynął. jakby drogę miał zastąpić. nawoływano się ze śmiechem. Starszyczna snadź sama nie poczynąć nie chciała — ale dzieci pobudzono. które chwytając kamienie i garści ziemi, z wielką ochotą zahierały się na wóz nacierać — kępki ich to podbiegały naprzód. to się z krzykiem w tył cofały. Śmiech rozlewał się w tłumach. Garbus kazał ciągle jechać powoli.

Wtem z ulicy wychodzącej na rynek z wolna wysnęła się czterema koniami zaprzężona buda ogrom-



na, płótnem okryta, nakształt tych. któremi furmani żydowscy towary i podróżnych przewożą... Na widok jej garbaty stanąć kazał: wysiadł i wiozącemu w chłopskiej odzieży bndę dał znak, ażeby stanął także... Para głów ukazała się z za płótna i okrzyk dał słyszeć...

Wszyscy stali ciekawi tego spotkania. Wtem z wnętrza budy zaczęły się dobywać chłopaki. Dwóch ich wyskoczyło raźnie, oba w siermiężkach, w koszulach na wierzch spodni, w butach prostych i baranich czapeczkach. Starszy mógł mieć lat czternaście do piętnastu, młodszy z dziesiętek... Za nimi ukazała się dziewczynka z zaplecionemi kosami w świtce.. a po niej otyła, dosyć przystojna i nie stara jeszcze kobieta z głową chnstką zawiązaną, z wyciągniętymi rękami podeszła śmiejąc się do garbusa...

Chłopcy popadali mu do nóg, dziewczę poczęło go w ręce całować, kobieta téż w ramię z uszanowaniem chciała pocałować, ale garbaty jej szyję objawszy. twarz do ust przychylił. Cała ta scena odbywająca się wśród rynku i przy mnogich świadkach, takie uczyniła wrażenie na tłumie. iż się wszyscy cofnęli, a dzieci pierzchnęły... Było w tem coś dziwnego, coś rozrzewniającego razem, bo chłopcy z wielką radością cisnęły za nogi starego i dobijały się ręki. Stał nie bardzo poruszony, o coś rozpytując krótkimi słowy.. Lice mu się trochę rozjaśniło... Dziewczę poklepał po policzkach, chłopców po odkrytych, krótko ostrzyżonych głowach; do kobietę się uśmiechnął—i—w głos zakomenderował:

— No! do budy... i za mną!

Cała ta gromadka jak była wysypała się żywo na powitanie p. Sebastyana tak usłyszawszy rozkaz, rzuciła się z powrotem do płótnem okrytej bryki. Ostatnia szła za niemi kobieta, oglądając się na garbatego, który stał u stopnia, póki wszyscy nie powiadali, a potem z wolna odszedł do stojącego wozu swego, siadł i z wolna do Samoborów jechać zaczął.

Tłum, który przed chwilą kamieniami nań chciał ciskać, zobaczywszy rodzinę, jej odzież, brykę — po patrząc na powitanie serdeczne zupełnie zmięknął i nposobienie. Ludzie starzy milczeli.

Ten pozór ubogi zbliżał Samoborskiego do ludu, który gotów był w nim już widzieć przedstawiciela nciśnionych i brata...

— Kto to może wiedzieć — odezwał się jeden z tych, co do szturmów prowadzili — co ci ludziska przecierpieli, bo to znać dosyć było biedne — więc c za dziw, że się żółci przyzbierało?...

— Ale pewnie — potwierdził inny. — albo to my bociamy, żeby świat czyścić! Co nam do tego! i koniec końców śledztwo, policya, dyby, pod szupasem do powiatu, a może jeszcze co gorszego... Poczęli się zaraz rozchodzić i dzieci pędzić. Do domu! do domu!...

Tak szczęśliwie skończyła się owa historia rynkowa, po której garbaty nie ukazywał się długo w miasteczku. Trzeciego czy czwartego dnia przysłał staruszkowi księdzu różne zapasy do spiżarni, który podziękowawszy uprzejmie oświadczył, że spiżarni nie ma i nic nie potrzebuje.

Odjechały więc z powrotem do Samoborów, a garbaty nie rzekł słowa, odbierając je. Tego sa-

mego dnia jednak kazał zaprządz i do miasteczka na probostwo do starego rnszył.

Siedział tam godzinę dobrą i słychać było rozmowę z jednej strony żywą, z drugiej wielce spokojną — która się łagodnie i z cicha skończyła ..

Garbaty, który nigdzie nie bywał. i od którego wszyscy się odwracali, unikając z nim stosunków, nie szukał ich wcale w sąsiedztwie. Do jednego tylko starego księdza kiedy niekiedy dojeżdżał. Dowiedział się o tem prezes, a że miał na sercu żal do tego. jak go nazywał, zwierzęcia, nie mógł staremu emerytowi przebaczyć, iż się z nim wdawał.

W niedzielę którąś po nabożeństwie, zaszedł na plebanie, i to nie do proboszcza, ale do księdza emeryta. lnb jak go inni zwali, do pustelnika.

Znalazł go właśnie po mszy świętej, odmawiającego u siebie na brewiarzu modlitwy. musiał więc poczekać, aż je dokończył i wstał.

— Dawnośmy się nie widzieli — panie prezesie — rzekł staruszek... nie łaskawiście na mnie..

— El! el — nie mogąc długo nic na sercu nosić zawołał Mohyla — przyznam się. że do JMości dobrodzieja i zająć bo niebezpieczuo.

— A toż dla czego?

— Nuż tu człowiek jaką wścieklicę zastanie.

— Jaką wścieklicę?

— Co bo mnie ojrze rozumieć nie chcesz! Jakże u was noga czyja postać ma. kiedy ta... to... zwierze tu chodzi.. ten garbus!!

— Czy to będzie lepiej — odezwiał się staruszek spokojnie — gdy go wszyscy odstąpią?

— Jużciż tego wart...

— A poprawić się nie może? zapytał stary.

Prezes w ręce napuchłe uderzył i począł się śmiać.

— Jeszcze tego nie stało. żebyć takiego człowieka, to zwierzę dzikie nawykłe pożerać co spotka i pastwić się nad ofiarą — myślał nawrócić!

Stary stał nieporuszony.

— Dzieją się i cuda — rzekł krótko... I z założonych rękami począł chodzić po pokoju... Staował potem naprzeciw prezesa i powoli rzekł:

— A gdybym ja go nakłonił do łagodniejszego obejścia z rodziną, do dobrowolnego wydzielenia jakiejś części dla hrabiny i jej syna...

— On im koszuli nie chciał dać! — krzyknął prezes. a JMość dobrodziej chorujesz na tę imaginację... A to już chyba zdziecinnienie!

Uniósł się prezes, czego zaraz pożałował i począł przepraszać...

— Daruj mi, ojcze...

Całował go po rękach...

— Ale, Bóg widzi, nie gniewam się, śmiejąc się rzekł stary... Zdziecinnieć a do niewinności dziecięcej powrócić... o Boże mój, co by to było za błogosławieństwo! Gdybym tej szaty białej był godzien...

Złożył ręce pobożnie.

— Bo to nie może być! to nie może być! — dokończył Mohyla.

— A ja wacpauu mówię, że może i że będzie. Da folwark... z dobrej woli...

Prezes się mocno zdumiał.

— Tego cudu chyba wasza na nim świętobliwość dokaże...

— Nie ja, Pan Bóg! — odparł starszek.

Wyrzeczonemu słowu Mohyla nie dał jednak wiary, zmilkł tylko... Dał mu się rozmyślić ksiądz emeryt i rzekł po cichu:

— Mam od niego słowo, że tę ofiarę uczyni, a zdaje mi się, że go nie cofnie... Jedźże panie prezesie do hrabiny, do jej syna, powiedz to im, niech się pokrzepią na duchu, a Pann Bogu podziękują...

Stary nic nie mówiąc w ręce ucałował księdza i wyjechał wprost do dworku hrabiny.

Po przybyciu do miasteczka, zdrowie hrabiny Julii znacznie się polepszyło. Doktor przypisywał to przytomności Zdzisława... Ukrywano przed nią jak najstaranniej nieszczęśliwą katastrofę, o której zupełnie zrazu zdawało się, że zapomniała. Ale z powrotem do sił, zwołna pamięć zapewne wracać musiała, posmutniała, widać było, że się domyślała zmiany położenia i nie miała odwagi spytać, aby się strasznej nie dowiedzieć prawdy. Czasem wyrwały się, jakby mimowoli, słówka dające odgadnąć, że wiedziała o wszystkim. Z panną Różą kilka razy mówiła, jak się we dworku na stałe urządzić mieszkanie...

Ten stan dziwny przeciągnął się trochę... nikt nie chciał pierwszy wyprowadzać jej z niego. Naostatek ona sama najprzód z dawną przyjaciółką i towarzyszką po cichu mówić zaczęła otwarcie i trwożliwie, stopniowo dopytywać o szczegóły. Zdawało się, jakby tę gorycz mierzając sama do sił jakie w sobie czuła, brała ją powoli i częściami — jak nienchronne lekarstwo. Panna Róża nie tała nic, ale dzieliła też wiadomości i słodziła je jak umiała. Później nieco

hrabina dała synowi do zrozumienia, iż zna swe położenie...

— Moje dziecko — rzekła spokojnie — ty się tem ani trwóż, ani zbytnio boleć nad mojem nieszczęściem; ja go długo znosić nie będę, bo czuję, że nie przeżyję... Sił mi brak... życie nchodzi...

W istocie była na pozór zdrową, ale coraz słabszą, w kilku tygodniach postarzała o lat wiele. Twarz zmieniła się, wychudła. zapadły oczy, zarysowały się zmarszczki... Zapomniała o stroju nawet, który dla niej był nalogiem i potrzebą... Kazała sobie podawać jedną czarną suknię i przypatrywała się jej, niby licząc na jak długo wystarczyć może...

Doktór przyznał się pannie Róży, iż chociaż właściwie choroby nie było, wyczerpanie nadzwyczajne stawało się groźnem. Żaden pokarm sił ubywających przywrócić nie był w stanie...

Całemi dniami siedziała w ciemnym kąciku na kanapce, nie ruszając się, często nie mówiąc. z zamkniętymi oczami. na najmniejszy szelest zrywając się z krzykiem przestraszona. Często Zdzisiowi kazała siedzieć u nóg swoich i na głowie jego złożwszy ręce wychudłe... dumiała czy modliła się. Unikała jednak rozmowy, któraby terażniejszość przypomnieć mogła. O Samoborach mówiła, jak o czems ukochanem a straconem na zawsze, lubiła je wspominać.

— Te moje drzewka ulubione! pewnie już powycinał! — szeptała i milkła prędko...

Zdzisław nie odstępował matki...

Tego dnia właśnie, gdy Mohyla od księdza emeryta przybył, syn był w pokoju hrabiny, która dowiedziawszy się o prezesie, kazała go prosić do siebie.

Być może, iż w sercu zachowywała żal jaki do tego nieudolnego opiekuna. którego winie przypisywano nieszczęśliwe procesu zakończenie — nigdy mu jednak po sobie poznać nie dała. Zdzisław także oprzeć się nie mógł tej myśli, iż Mohyla był przyczyną ich ruiny — ale i on nie objawił się z tem nigdy. Do czegożby się to już teraz przydało.

Wchodzącego starego przyjaciela hrabina uprzejmie bardzo przyjęła...

— Widzisz kochany prezesie, jestem zupełnie zdrowa, tylko... tylko, ot tak życia mi coraz brak... coraz go mniej i powoli, szczęśliwie zasnę.

— Ale co bo pani hrabina takie rzeczy mówi, czy to się godzi! — zawołał prezes... Osłabienie przejdzie...

— A tak! przejdzie! — uśmiechając się dodała hrabina... A jakże wasze nogi, prezesie?

— Moje nogi? a spuchłe... i to szczęście — rzekł prezes — doktor się bardzo z tego cieszy, musi być z tem dobrze...

Rozśmieli się smutnie.

Po chwilce takiej obojętnej rozmowy, Mohyla skinął na Zdzisia. że ma z nim do pomówienia na osobności, pożegnał się i wyszli do izdebki jego naprzeciwko.

Młody hrabia. który był nawykły do obszernych apartamentów. zajmował od tyłu pokoi. z ciężkością mogący pomieścić łóżko, stoliczek i krzesel parę. Pozostałe z podróży kuferki ledwie się pod łóżkiem. pod stołem i za piecem jako tako dały porozkładać. aby nie zawadzały...

Dawna elegancja z dzisiejszem ubóstwem w dzi-

wnej była sprzeczności. Prezes ledwie znalazł miejsce, aby usiąść, choć niewygodnie.

— Mój hrabio — rzekł powoli — nowe tu i niespodziewane wiadomości przynoszą wam... Pan Bóg, bo to jego tylko łasce przypisać można, tchnął lepszym jakimś uczuciem w serce dzikiego człowieka. Staruszek nasz emeryt mnie upewnia, że pan Sebastyan coś dla was chce czynić...

— On! dla nas! — przerwał Zdzisław zrywając się z siedzenia—on! dla nas!

— Ale tak jest, ksiądz mi zaręcza, że folwark jeden od Samoborów chce wam oddać.

Zdzisław patrzył milczący.

— Prawda, że rzecz nie do wiary prawie, ja sam nie chciałem zrazu uwierzyć, ale pocciwy starowina ręczy.

Patrzył w oczy młodemu hrabi, który ciągle milczał, ale widać było z jego twarzy rodzaj oburzenia połączonego z niedowiarstwem. Zdawał się litować nad łatwowiernością prezesa.

— Kochany prezecie—odezwał się w końcu: trudno mi najprzód temu uwierzyć, a niepodobieństwem dla nas z tego korzystać.

— Jak to rozumiesz! zapytał Mohyla.

— Nie pozwala na to godność nasza — rzekł Zdzisław — splamilibyśmy się przyjmując od nieprzyjaciela rodzaj jałmużny. Zmusiłby nas do wdzięczności, gdyśmy mu winni tylko wzgardę i — uczucie, na jakie zasłużył prześladowca matki mojej i mój.

— Ale nic nie macie! zawołał prezes.

— Matce mojej teraz niewiele potrzeba — zawołał Zdzisław: to co ocalało posprzedajemy; ma własne



klejnoty i trochę kosztowności, to dla niej starczy a ja nie potrzebuję nic... nie!

— A cóż poczniesz? zapytał zdziwiony prezes.

— Co w mojem miejscu każdy innyby uczynił — rzekł Zdzisław — muszę pracować i będę pracował... nikt nie mmiera z głodem oprócz tych, co tego chcą dobrowolnie... Dzięki Bogu mam młodość i siłę!

Mohyla patrzył nań z rodzajem naiwnego osłupienia: nie wyobrażał sobie, aby pieszczony Zdzis był zdolny coś podobnego pomyśleć i powiedzieć.

— To bardzo piękne — rzekł z cicha, namysławiając się — ale kochany hrabio, wyrzekać się znowu dla jakiegoś heroizmu lepszego i swobodniejszego bytu... nie mogę radzić.

— Żadna siła w świecie nie zmusi mnie do przyjęcia daru z takiej ręki, jak stryja Sebastyana. Sprawy nie rozumiem wcale, nie znam jej, mógł mieć słuszność, mógł jej nie mieć, prawo mu przyznało ją, wygrał proces. Bądź co bądź, z nami, z kobietą, ze mną mógł się obejść po ludzku, nie z ową zaciętością i okrucieństwem, jakich się dopuścił. Tem postępowaniem pomiędzy mną a sobą wykopał przepaść, której datkiem jakimś nie zapełni. Nie mogę i nie przyjmę od niego nic.

— Słuchajże — odczuwał się prezes kręcąc głową — to znowu z waszej strony dziwactwo. Jeżeli on się poimiarkował, żałuje i chce krzywdę popełnioną wynagrodzić...

— Krzywdą jej niewynagrodzona! — zawołał Zdzis zrywając się — ja o tem słuchać nie chcę i nie mogę! To mnie oburza! Chce nas poniżyć i spodlić! tego nie dokaże. My od niego nic nie potrzebujemy! nic...

Mohyla potarł głowę i zamilkł; młody hrabia rozgorączkowany po pokoiku się rzucał.

— Proszę kochanego prezesa—rzekł po chwili, błagam, nie wspominajcie mi o tem więcej. Słyszeć nawet nie chcę i nie mogę. Między nami a tym człowiekiem nie ma nic wspólnego. Zabrał, zagubił co chciał, wydziedziczył nas, wyrzucił... rzecz skończona.

Prezes zwiesił głowę, ręce ścisnął i milczał.. ale siedział smutny.

— To trudno, mruknął—kiedy dobrej rady słuchać nie chcecie!! Ja na waszem miejscu, zamiast wszystko dumnie odrzucać, starałbym się zbliżyć do tego człowieka. Okazuje się, że jest tam jeszcze jakieś uczucie, przez które do serca trafić można.

Zdziś ręką machnął i w okno zaczął patrzeć, przez uszanowanie dla starego nie chciał odpowiadać nawet. Prezes nie nalegał więcej, ale miał nadzieję, że gdy pierwsze oburzenie przejdzie, gdy się Zdziś namysli, zastanowi nad stawem matki, ostygnie. łatwiejszym być może.

— Namysł się—dodał wstając—nie ma nic pilnego. możesz dobrze się nad tem zastanowić..

Zdzisław z uszanowaniem go pożegnał i odprowadził, a sam pozostał w izdebce nie dla namysłu, ale dla ochłonięcia z wrażenia, jakiego doznał.

Chodził jeszcze wzruszony i smutny, gdy Żabicki wszedł. który dotąd jeszcze wyjechać nie miał siły i zwlekał rozstanie, aby dłużej w pomoc Zdzisławowi przyjść mógł jeszcze.

— Znajdujesz mnie wzburzonym — odezwał się Zdziś wskazując mu miejsce. Zdziwisz się, gdy ci powiem, że prezes jest przyczyną tego zniecierpliwienia.

Przybył tu od naszego poczciwego starego księdza z oznajmieniem, że pan Sebastyan coś nam z łaski swej chce ofiarować, rodzaj jałmużny. Nie wchodzę w to wiele, czy mało, ale jak ci się myśl podoba?

— Ja też nie pytam co chcę dać, ale czy się przyjmą? rzekł Żabicki surowo. Ludzka społeczność składa wszędzie i zawsze całość spójną, klasy społeczności są niczem innem, jak stowarzyszeniami pod inną formą. Daje się więc i przyjmuje à charge de revanche, bez skrupułu. Tak sądzę. Są jednak pewne wypadki, w których się od kata naprzykład nie może przyjąć nic...

— A właśnie my, sądzę, jesteśmy w położeniu podobnem — przerwał Zdzisł; i my od kata nie przyjmujemy nic. Nie chcę nawet, by o tem wiedziała moja matka, mogłaby siebie poświęcić i znieść upokorzenie dla zapewnienia bytu mnie... Co do mnie, ja raczej będę pracował na nią i dla niej, niż dopuszczę, ażebyśmy żyli z jałmużny nieprzyjaciela...

Żabicki uściśnął Zdzisia, który chodził z twarzą pałającą, ożywiony niezmiernie — nie powiedział już ani słowa, podzielał zupełnie jego sposób widzenia.

— Znasz naszego staruszka księdza emeryta? zapytał hrabia po chwili.

— A jakże! z przyjemnością patrzę na ten fenomen... odparł Żabicki. Nie jest to człowiek naszego wieku, lecz lepszy od nas wszystkich.

— Pójdźcież proszę do niego i zaknijcie go odemnie, aby powstrzymał wszelkie kroki pana Sebastjana i nie narażał nas na nieprzyjemności nowe. Powiedźcie mu wręcz odemnie, że z tych rąk nic przyjąć nie możemy i nie przyjmujemy.

— Dobrze — rzekł Żabicki biorąc za kapelusz — idę...

Wyszedł uatychmiast na miasteczko i podążył ku plebanii. Przechodząc mimo cmentarza zobaczył starszka, który z brewiarzem przechadzał się między grobami i świerkami. Zboczył więc do furty cmentarnej i wszedł.

Powitali się uprzejmie...

— Cóż tu ksiądz proboszcz porabia w tym ogródku śmierci? spytał Żabicki.

— Widzisz, szukam sobie zawczasu spokojnego kąta, gdziebym odpoczął, mówił stary... Śmieszna rzecz. nie umiem się zdecydować na kątek... Choć to zupełnie wszystko jedno, gdzie ciało będzie gniło, nie mogę sobie dobrać miejsca do smaku...

Począł ręką wskazywać.

— Tu wilgoć—tam krowa się pasie i będzie mi nad głową stukać—tam czegoś smutno. owdzie nadto odkryto. Głupstwo ludzkie!! W katakumbie nie chcę leżeć zanknięty—niech się spełni prędzej: et in pulverem reverteris, pod gołym niebem. w świeżej ziemi. aby matce oddać co rycblej co się od niej wzięło...

— Jak się waćpanu zdaje ten kątek? he? Wskazał w rogu między murami zaciszne miejsce. Byłoby doskonałe. gdyby go ktoś przed laty kilkunastu lat nie zajął. Jest ślad, że tam kogoś pogrzebiono, a nużby grabarz dla mnie spokój kości biednych naruszył? Nie — na to nie pozwolę...

Żabicki uśmiechał się.

— Masz jeszcze na to czas, mój ojczy, bo choć dziewiedziesiąt-letni przeżyjesz nas wszystkich.

Staruszek się też roześmiał.

— Myślisz, że to rozkosz żyć? a patrzec jak te ludziska biedne i... niedorzeczne...

Spojrzał nań; — Aleś ty bez interesu do mnie nie przyszedł? mów...

— W istocie, przysłał mnie hrabia Zdzisław.

— A jak się ma hrabina?

— Jednakowo... Prezes był u nas...

— I paplał pewnie.

— Musiał powiedzieć przecie...

— Zdzisław kontent? spytał staruszek.

— Właśnie mnie przysyła prosić, ażeby J.Mosć do-brodziej był łaskaw p. Sebastyanowi z głowy to wy-bił, żeby im żadne „o daru nie czynił, bo przyjąć go nie mogą.

Staruszek zdziwiony stawał, palec włożył w bre-wiarz i ręce załamał.

— Dlaczego? dlaczego? spytał.

— Nie sędzę, żeby o to nawet pytać można, ode-zwał się Żabicki. Tyle doznali złego od tego czło-wieka.

— Że mu się poprawić nie chcą dać! westchnął sta-ruszek. A tak—to po ludzku .. po ludzku—ale nie po chrześcijańsku...

— Zdziś woli pracować i cierpieć, niż być cos wi-nien temu, który ojen jego był nieprzyjacielem.

— Nie wchodząc w to, czy miał słuszość czy nie? podchwycił stary—a tak! po ludzku! po ludzku!

Zaczął się przechadzać między grobami — nie ciągnąć dalej rozmowy.

— Ojciec nie chce tego widzieć, że Zdzisław ma słuszość! odezwał się Żabicki

— A tak! niech matka cierpi głód i niedostatek. byle to co zowią honorem, a co jest dumą i egoizmem uratować! począł staruszek. Powinienem się tego był spodziwać. Więc — *pax vobis*, i nie mówiny, nie mówmy. Ja tych rzeczy światowych zrozumieć nie mogę, u mnie pokora św. Franciszka idzie przed honorem, bo św. Franciszek wziął ją od Chrystusa i nauczył nas jej u siebie... Bóg z wami!!

Czoło pochmurniało staremu — milczący był i zmartwiony. Kosztowało go może wiele uakłonienie upartego do ofiary, a teraz trzeba ją było odrzucić. Smutno mu było...

Żabicki pojął staruszka obcego świata, i nie chciał już w tym przedmiocie mówić więcej. Przyszedł się pożegnać.

— Niech ojciec będzie łaskaw oszczędzi przykrości młodemu i skłoni p. Sebastyana, aby ze swą ofiarą się cofnął. Nie ma co mówić o tem...

I pożegnali się milczący, bo ksiądz emeryt nie odpowiedział. Poszedł aż do furtki za Żabickim, niosąc swój brewiarz w rękę, i tu jeszcze raz go pozdrowiwszy, wrócił do swych pacierzy.

Nazajutrz po miasteczku nie wiedzieć z kąd i w jaki sposób gruchnęła pogłoska, że dziki człowiek tknięty litością nad losem rodziny, którą wydziedziczył obchodząc się z nią tak dziko, dobrowolnie chciał jej coś ofiarować z majątku i że tej ofiary od niego nie przyjęto. Chwalili jedni. ganiłi drudzy, wielu nie dowierzało. Do chorej hrabiny wcale ta wiadomość nie doszła...

Stan jej widocznie się pogorszał. .

Doktor bez ogródki oświadczył płaczącej pannie Róży, iż żyć nie może. Nadchodziła jesień, pora dla chorych najniebezpieczniejsza do przebycia... liście zaczynały opadać z drzew, powietrze ostygło, coraz rzadziej ukazywało się słońce, dni chmurne i krótkie wzmagaly tęsknotę smutkiem w całej naturze rozlanym.

Hrabina Julia coraz bardziej była nieruchoma i milcząca, domagała się tylko Zdzisława, który ciągle siedzieć przy niej musiał. Patrzała nań i lzy ciche puszczały się jej z oczu; całowała go w głowę, przyciskała ku sobie — ale rzadko zdobyła się na jakie pytanie i słowo...

Doktor przychodził codziennie, dawał jakieś przepisy i lekarstwa; gdy Róża wychodziła za nim do sieni, aby z oczu jego wyczytać pociechę, spoglądał na nią smutny, ścisnął jej rękę w milczeniu i wymykał się, aby nie być zmuszonym kłamać lub powiedzieć zbyt wiele...

Nagle jednego dnia hrabinie zdało się być znacznie lepiej, wstała rzeświejsza, chodziła kilkakrotnie do okna obejrzeć okolicę. kazała się pannie Róży zaprowadzić do pokoiku Zdzisia, aby obejrzeć, jak też on mieszka. Opierała się długo towarzyszka, ale wreszcie poszła z nią do ciasnej izdebki. Na widok jej, ledwie przez drzwi spojrzawszy, hrabina zapłakała i odeszła. Jednakże dnia tego była więcej ożywiona, ale razem podrażniona bardziej niż zwyczajnie.

Mówiła wiele, doktor znajdował, że za nadto. Nad wieczorem z za chmur pokazało się słońce i promyk jego wpadł do pokoju, hrabina ucieszyła się nim,

nderzyła w dłonie, witała go jak gościa, a gdy to światło blednąć zaczęło i znikło, zapłakała jak dziecko... Wieczorem gdy przyniesiono lampę, kazała sobie podać szkatułkę, w której były jej kosztowności... Rozłożyła je na kolanach. jakby przypominając sobie chwile, w których je kładła i odbierała hołdy... Piękny łańcuch złoty wrzuciła na szyję klęczącej przy niej Róży. Nie mam ci co teraz dać na pamiątkę... weź choć ten symbol niewoli naszego życia... Resztę pozamykała starannie. a pierścion z wielkim soliterem, który zwykle nosiła na palcu, zdjęła i rzuciła także do szkatułki, zostawiając tylko na wychudłej ręce ślubną obrączkę. Szkatułkę kazała zanieść do pokoju Zdzisia... Dziwne te przygotowania, choć je za fantazyę uważano, zaniepokoiły wszystkich; posłano po doktora raz drugi, który znalazł trochę gorączki i radził pójść na spoczynek do łóżka.

Wszyscy się rozeszli, została tylko p. Paklewska, a u tej uprosiła hrabina, żeby jak najspieszniej posłała po księdza.

— Ale pani się nie czujesz gorzej? doktor mi zaręczył, że nie ma nic.

— Cóż to szkodzi, że się wypowiadam? lżej mi będzie na duszy...

Na plebani nie było nikogo oprócz staruszka, który się przywłókł zaraz... Powitała go z radością wielką, a on znalazł ją tak ożywioną i na pozór silną, że się tem pocieszył i rozweselił. Po odbytym obrzędzie, ksiądz prosił jeszcze o chwilę rozmowy... Zdało mu się, że spełni dobry uczynek, gdy się do pojednania przyczyni. Z należnemi ostrożnościami oznaj-



mił hrabinie o ofercie pana Sebastjana i odrzuceniu jej przez Zdzisława, którego ani potępiał, ani chwalił.

Hrabina się zamyśliła głęboko.

— Mój ojciec, rzekła — Zdziś jest teraz głową rodziny i sam całą ją stanowi... do niego należy sądzić co ma uczynić, aby wyszedł choć ubogim, ale czystym z tej próby. jaką się Bogu dotknąć nas podobało. On miał słuszość, mój ojciec — my tego nie powinniśmy przyjąć, nie możemy..

Albo nas dotknęła krzywda, którą znieść należy, nie mogąc się jej obronić: lub ponosimy karę za winę czyjąś, i od niej nie chcemy się wyswobadzać. Jałmużny Samoborski nie przyjmie, dobrodziejstwa od tego, co mu odebrał wszystko, nie potrzebuje; Bóg opatrzy przyszłość.

Liza pocięła jej z oczu...

— Nie mówmy o tem więcej — dodała — Zdziś pięknie i szlachetnie postąpił... Spokojna jestem o przyszłość jego...

Nie śmiał nalegać staruszek.. Hrabina wsunęła mu zwitek jakiś, prosząc o nabożeństwo za duszę Julii — i pożegnała.

Było po północy już, gdy panna Róża weszła znowu do sypialni i zastała hrabinę na modlitwie, spokojną, uśmiechniętą nawet. Opierała się półjacin na spoczynek, mówiąc, że nie czuła suu potrzeby. i nie rychło dała się do niego namówić. Panna Róża kładła się zwykle w tym samym pokoju, a tym razem nie spokojniejsza jeszcze, nie rozhierała się nawet. lecz słysząc spokojny oddech śpiącej hrabiny. samą wreszcie nad ranem usnęła głęboko. Zwykle hrabina budziła się bardzo rano; tego dnia godzina minęła

a panna Róża poszła się do łóżka przysłuchiwać — zdało jej się, że oddechu czuć nie było, że hrabiny twarz bledszą niż zwyczajnie znalazła. Leżała z rękami na piersiach złożonemi trzymając w nich krzyżyk złoty, który nosiła od dzieciństwa... Przestraszona p. Paklewska posłała po doktora. mieszkającego w sąsiedztwie, który nadbiegł natychmiast. W sieniach już opowiedziała mu swoje przerażenie, z którego doktor się śmiechnął... i wszedł na palcach do sypialni. Dotknięcie do ręki, potem do czoła przekonało go, że hrabina nie żyje. Miała więc przeczucie śmierci, które wybranym czasem jest dane.

Nie śmiano powiedzieć o tem Zdzisławowi, lecz doktor podjął się smutnego posłannictwa. Przybiegł on do łóżka i padł przy niem płacząc... trudno go było od zwłok tych oderwać... W dworku płacz, jęk, zamieszanie w pierwszej chwili było takie, że wszyscy potracili głowy. Panu Różę cucić było potrzeba i trzeźwić co chwila... Nikt nie miał dosyć przytomności, aby się zająć niezbędnemi przygotowaniami do pogrzebu. Na prezesa niewiele było można rachować z powodu jego ociężałości i wieku; wyprawiono więc list do kapitana, a tymczasem ksiądz staruszek przypadł z brewiarzem i modlitwą.

Dawni słudzy z Samoborów, z których wielu było jeszcze w miasteczku i okolicy, dowiedziawszy się o zgonie hrabiny, zeszli się wszyscy do dworku prosząc, aby ich do ostatniej posługi użyto. Obcy nawet czuli się w obowiązku upadłej rodzinie okazać współczucie... Nie zbywało więc na pomocy, na ludziach i na dowodach miłości, które u łoża zmarłego są najpiękniejszym życia jego świadectwem.

Z południa przybiegł kapitan. wioząc z sobą Stasię, która chciała być pannie Róży pomocą. Zdzis chciał, ażeby pogrzeb odbył się jak najwspanialej i ofiarował nań ostatni grosz, jaki mu został, a nawet przekazane przez matkę klejnoty; ale staruszek oświadczył, iż zmarła w wigilię zgonu poleciła mu prosić i zakląć syna. aby ją w prostej trumnie pochowano. bez żadnych obrzędów i wystawy.

Nie zapraszano więc nawet nikogo z sąsiedztwa, które pomimo to przybyło tłumnie i gromadnie. Poczuli się wszyscy do obowiązku i spełnili go...

Oprócz Mangoldów, którzy byli za granicą. nie brakło nikogo. Pogrzeb przy całej prostocie swej. liczbą tych. co nań przybyli, wspaniały był, majestatyczny, bo lud ze wsi okolicznych. ludność miejska. urzędnicy, szlachta, duchowieństwo nie proszone zbiegło się z całej i najdalszej okolicy...

Usluchano i w tem woli zmarłej. by żadnej mowy nad grobem nie było, a milczenie w takiej chwili za najwymowniejszą stało egzortę. Zdzisław sam jeden szedł za trumną... z głową spuszczoną. blady. czując. że nowe, sieroce, sobie samemu zostawiony. rozpocząć miał życie... Gdy wstawszy z mogiły, chwiejąc się wyszedł z cmentarza, zastał sąsiadów czekających nań u furty... Każdy z nich przystąpił doń. aby mu rękę ścisnąć w milczeniu — niektórzy płakali głośno... W pół godziny potem rozjechali się wszyscy i miasteczko puste już było...

Prezes tylko i kapitan ze Stasią powlekli się do dworku ze Zdzisławem. Tego dnia późno w wieczór, drogą po za miasteczkiem nadjechał do pleba-

nii garbaty. Wiedział już zaraz o śmierci hrabiny, a przez ludzi z Samoborów o pogrzebie. Gdy w czasie wieczerzy pustelnika zapukał do drzwi jego — zdziwił się nie pomału starowina, widząc go o tej godzinie u siebie.

Pan Sebastyan także chmurny był, i co mu się nie trafiało — zafrasowany.

— Przejeżdżając wstąpiłem do jegomości — odezwał się. Cóż to, spoczywacie po pogrzebie wspaniałym?? a wspaniały był, słyszę...

— Nie mógł być skromniejszy, mój dobrodzieju. odpowiedział ksiądz, który dokończywszy swego śledzia z chlebem, ocierał właśnie usta;—Pan Bóg tylko uczynił go pamiętnym i uroczystym, bo się nań tysiące ludu zebrały...

— Ja to rozumiem, śmiejąc się zawołał garbaty—nie tyle to dla nieboszczki jak dla mnie żywego zrobili, aby mi pokazać, jak mnie nienawidzą!!

— Co acindziejowi w głowie? co w głowie? począł ksiądz z oburzeniem; kto tu dziś o waszmości pomyślał? Pochlebiasz sobie zbyt... Kara Pana Boga z ludźmi takimi!!

Garbaty się nasrożył.

— Cóż oni tu tak osobliwszego okolicy wyswiadczyli? z kąd taka rozczulająca wdzięczność? dodał.— Mów sobie ojcie, co chcesz, a ja co wiem to wiem.

Staruszek usiadł nic nie mówiąc.

— A cóż z moim darem? he? to pewnie odłożone na później, aby tymczasem psy na mnie wieszać mogli... Wszakże im daję więcej niż warci, i to z łaski...

— Ale oni nie wezmą nic. nie chcą nic, i słyszeć o tem nawet nie mogą — zawołał ksiądz...

Garbus się zerwał z krzesła.

— Jakto może być? odrzucają? nie chcą?... nie wierzę!

— Najpewniej — mowy o tem być nie może...

— To zapewne ten gołowás, pyszałek — krzyknął garbaty... a no — dobrze! tylko jeśli się rozmyliwszy prosić potem będzie — nie dam nic — nic — nic.

— Hrabia Zdzisław odmówił pierwszy, przerwał staruszek. to prawda, alem ja sam mówił o tem z nieboszczką hrabiną, która to pochwaliła. Ufają w Bogu, że ich nie opnści...

— Bardzo słicznie!! z ndaną radością zacierając ręce zawołał garbaty — pięknie, wspaniale. szlachetnie — co się zowie po pańsku! Ja się też z tego cieszę niezmiernie... Mojemu Wiktorkowi. Pawłkowi i Nastusi zostanie więcej. Od przybytku głowa nie boli. Zbyć się chciałem ludzkiego krzyku i wrzasku, dawałem odezpe nego... Koli moje ne w ład, to ja z swoim nazad. Płakać nad tem pewno nie będę! Możeby chcieli. żebym im z Samoborów ustąpił i przeprosił. Cha! cha!...

Nie frasujcie się ojczy — dokończył widząc zaspioną twarz staruszka: nic anic mnie to nie zmartwiło. Tem-ci lepiej.

Ksiądz nie chciał oliwy do ognia dolewać i milczał, garbus miotał się po izdebce ramionami ruszając i z ukosa spojierając na siedzącego spokojnie gospodarza. Mruczał cos długo jeszcze pod nosem i śmiał się sam do siebie...

— Cóż ten hrabicz myśli z sobą? zapytał po chwili stając.

— Nie wiem, prezes mi mówił, że jedzie się uczyć, aby mógł sobie na chleb zarobić.

— A no, to powiedzcież mi, nie jestemże ja dobrodziejem jego? nie powinienże mi dziękować. Byłby umarł osłem i papinkiem jakim był ojciec, a tak się może z niego co wykrzesze... Wszystko to mnie winni, choć przeklinać będą garbusa... Niech klną, mam to z doświadczenia, że się tym tylko wiedzie na świecie, których przeklinają.

Rozśmiał się dziko. a ksiądz się nań ofuknął i nogą uderzył w ziemię.

— Co mi tu acindziej herezye takie pogańskie pleść będziesz! zawołał.

Garbus powstał chwilę, popatrzał nań, skłonił się — i pożegnał.

— Do nóg upadam...

— Z Bogiem! z Bogiem! mruczał staruszek...

Tak się rozeszli i nie widzieli więcej, bo do śmierci księdza emeryta, garbus u niego więcej nie powstał.

Tegoż dnia prezes z kapitanem zaprosili się sami do Zdzisława za dni kilka, bo Mohyla chciał koniecznie przyszłość jakąś obmyślić i dopomódz Zdzisiowi, choć sam w interesach nie bardzo mógł, przy najlepszych chęciach, być użytecznym. Zdzisław wszakże niczyjej pomocy nie potrzebował; od dawna rozmówił się z Żabickim, razem z nim postanawiając jechać do uniwersytetu. Zapasy jego wielkie nie były, grosza zostało szczupło, choć doktor odmówił wszelkiego wynagrodzenia, a pogrzeb bardzo mało koszto-

wał. Trzeba jednak było sługi popłacić i mnóstwo drobnych osobistych dłużków, które za lepszych czasów nie stanowiły nic, a teraz zupełnie kasę wyczerpywały. Zostało ich tyle jeszcze, iż Żabickiego trzeba było uprosić, aby z klejnotami jechał do Warszawy.

Zdzisław nie mógł się sam oddalać, zostając umyślnie, by nie sądzono, że wierzyciele zapomnieni zostaną. Pomiedzy nimi była i panna Róża, mająca z lepszych czasów weksel na kilka tysięcy. Dług to był święty, bo stanowił jedyne mienie kobiety (tak przynajmniej Zdzisław sądził), która całe życie dla nieboszczki poświęciła. Klejnoty, o ile się oszacować dawały przez nieznawców, a niektórych z nich ceny nabycia wiedziano — mogły dość znaczną sumkę stanowić. Strąciwszy z niej należność panny Róży i znaczniejsze długi inne — mogło Zdzisławowi parę tysięcy złotych zaledwie pozostać. Kosztowna jego wyprawa cała pozostała w Samoborach, a o zwrot jej wcale się nie myślał dopraszać. Pogodnym umysłem patrzył pieszczony Zdzis na przyszłość, znajdując w tem rodzaj pociechy, że walczyć, cierpieć i pracować będzie musiał. W młodości wszystko, co z sobą przynosi jakies życie nowe, jest pożądane — spoczynek jeden straszny...

Zdzisław marzył teraz o walce, jak niedawno o świetnej przyszłości... a ubierał ją w szaty dramatyczne, nadawał jej urok poezji — który ona ma rzadko... Były to tylko innego rodzaju niebieskie migdały.

Rzeczywistość ze swą prozą, trywialnością, powszednim brudem, nudą, słotą i pluchą cichą — nie



była mu znana nawet, nie wchodziła w żaden rachunek... Zamiast płaszcza purpury ze złotem, widział tragiczną szatę i koturn i patrzył już jak mu z niemi będzie do twarzy. Młodzieniec jak on, dziwną losu niesprawiedliwością dotknięty, walczący heroicznie z nbóstwem, nie wzdrygający się ani razowego chleba wieśniaczego, ani chudego jadła biedaków — miał także swój urok i musiał na świecie obrócić oczy i serca ku sobie. Nie wątpił, że współczucie popowszczone i zajęcie towarzyszyć mu będzie, że ludzie napraszać mu się zechcą z posiłkiem, radą, protekcyą, które on z uczuciem godności uchylając — o własnej sile pójdzie ciernistą drogą żywota. Czuł w sobie wszystkie warunki bohatera poematu... i obiecywał nim zostać... W świetle jakimś byronowskim błyskała mu przyszłość wspinała na szerokiej widowni świata...

Skromnie jednak spowiadał się ze swych planów przed przybyłemi w dni kilka prezesem i kapitanem. Mohyła uściśnawszy go z uczuciem, wymógł i zaklął, aby im co do grosza wypowiadał się ze swych zasobów i z tego co mu pozostawało.

Zdzisław nie mógł tego zataić opiekunowi. Powiedział mu ile miał, a ile z Warszawy z Żabickim się spodziewał. ile się należało pannie Róży i innym drobnym wierzytelom... Porowski wziął to zaraz pod kredkę — zostawało nie więcej nad parę tysięcy złotych...

Prezes się przestraszył.

Kapitan dodał:

— Chociażeśmy owe kosztowności cenili nie drogo, nie było praktyki. aby jo kto sprzedał, potrzebując



spieniężyć, za taką cenę, jaką sobie ułożył. W takich razach korzystają zawsze nabywcy... Jeśli więc pan Żabicki nie przywiezie sumy oznaczonej, co zostanie?

— Zostanie tyle ile potrzeba abym dojechał do uniwersytetu — zawołał Zdzisław; — będę dawał lekcye, będę się starał zapracować, a chcę być winien sobie samemu przyszłość. Nic ona mnie nie przeraża...

Prezesa i kapitana właśnie to zaufanie młodzieńcze przerażało najbardziej. Nie śmieli mu jednak tego ostatniego skarbu odbierać — milczeli... Przez wyjeżdżającego do Warszawy Żabickiego z równie wielkiem zaufaniem, nie zachwianem jeszcze, panna Róża napisała do profesora, spodziewając się, że on go tam gdzieś spotkać musi. Żabicki nie śmiał listu nie przyjąć, chociaż zdało mu się, że nań odpowiedzi nie przywiezie. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali jego powrotn...

Stało się, jak zwykle się dzieje, iż rachuby wielu zawiodły. Na kosztowności hrabiny trudno było znaleźć kupca, ocenienie ich wypadło taniej daleko, niż się spodziewano. Żabicki nie dosyć wprawny w podobne sprawy dał sobie wmówić co chciano i zrobić co chciano... Szczęściem w ostatniej chwili — na najmniej szacowny klejnot starożytny znalazł się nabywca, który go opłacił po amatorsku i sumy dopełnił. Trzeciego dnia pobytu swojego w Warszawie, w ulicy zetknął się z profesorem, który go sam zatrzymał. Wilemski lice miał różowe, perukę nową i prawie odmłodził na bruku. Przybrał jednak minę kondolencyjną.

— Cóż się tam u was dzieje? Czytałem w Kuryerze, że hrabina umarła! Mój Boże! cóż Zdziś ten nieszczęśliwy?

— Zdzisław młody i da sobie rady — odparł Żabicki: — ale czekajcie — byłbym zapomniał. list do was przywiozłem od panny Róży...

Mimowolnym ruchem profesor aż się cofnął na to wspomnienie. Żabicki dobył żalobną pieczęcią zamkniętego pisma i oddał je... Ciekawość zmusiła rozpieczętować...

List był nie ciekawą ortografią. a jeszcze mniej ozdobnym charakterem pisany, nieco krzywo, wyglądał niepocześnie... Jednakże czytając go, profesorowi lice się rozjaśniło, usta uśmiechnęły. w oczach nawet wilgoć pewna się ukazała. która za łzy w podobnych razach uchodzić zwykła.

— Pocziwa, zacna, godna osoba! zawołał chowając list do lewej kieszeni w okolicę serdeczne...

— Kiedy ty jedziesz mój Żabisiu, żebym wiedział?... Możebyśmy pojechali razem. Bądź co bądź. *verbum nobile*, osoba ze wszech miar godna szacunku... Ktoby to był tak hrabinę wiernie do zgonu pielegnował. kiedy tam już żadnej sperandy nie było? pytam się, kto?

Żabicki stanął coraz bardziej zdziwiony.

— Gdzie mieszkasz? dołożył gorąco Wilemski — na pół kosztu jadąc, zawsze dla obu korzystniej i — bezpieczniej.

Postanowiono więc jechać razem, choć młody profesor nie mógł dobrze zrozumieć. jakim cudownym sposobem panna Róża zaschłe serce swojego narzeczonego poruszyć mogła...

Rzecz ta wyjaśniła się później dopiero, w podróży, gdy rozczulony Wilemski wygadał się z tem, iż w liście panna Róża przyznała mu się do posiadania w gotówce przeszło stu tysięcy złotych. Osoba więc była istotnie ze wszech miar godna szacunku. Wilemski roztkliwiał się mówiąc o niej, a pierwotną swą obojętność tłómaczył tem tylko, iż nie śmiał jej ofiarować podziału przyszłości, którą za zbyt jeszcze niepewną uważał. Teraz rozjaśniało się wszystko, mogli piękną pensyę założyć w Warszawie i w krótkim przeciągu czasu dorobić się wioski kapitalnej.

Panna Róża w oczekiwaniu na profesora mieszkała tymczasowo we dworku najętym przez Zdzisława — mogła go nawet jeszcze przez parę miesięcy zajmować. Wilemski jechał opatrzony już we wszelkie świadectwa i papiery, jakie do zawarcia związków małżeńskich mogły być potrzebne.

Profesor po czułem przywitaniu, po cichej rozmowie znalazł kątek w tymże dworku, aby oszczędzić wydatków... Zdzisław natychmiast wziął się do wyplat i pokończenia interesów, jakie go tu jeszcze wstrzymywały... Pożegnanie z prezesem i kapitanem, zostawało na koniec... Wprost z Wólki ruszali z Żabickim w dalszą drogę...

Jeszcze więc raz przejeżdżając koło Samoborów musiał Zdzisław je widzieć i zegnać. Była to jakby próba meztwa, gdyż istotnie serca potrzeba było wielkiego, aby się tym widokiem nie poruszyło i nie zalało goryczą.

Garbaty dotrzymał słowa: pałac już walić poczęto... Okna były powyjmowane, drzwi z zawias

zdjęte. Żydzi wywozili kupione posadzki i sprzęty. W dziedzińcu stały wozy już napełnione rzeczami i oczekujące na nowe ładunki. Znaczna część ogrodu wycięta przerażającym była pustkowiem, wysokie pnie z żółtymi wierzchy i gałęzie suche zalegały to pobojuwisko... Trzody się pasły wśród kłomków... W oranżeryach nie było ani okien, ani kwiatów powyprzedawanych.

Rodzina pana Sebastyana i on sam mieszkali w oficynie, którą otaczały różne statki do nabiału, prania i gospodarstwa niewieściego służące... Sama jejność w chustce na głowie, właśnie z drobiem miała do czynienia

Zdziś odwracał oczy, bo mu to krajało serce — a przecież ciekawy był tego obrazu. Spojrzał w okna pokojów matki — i te próżniami czarnymi stały; w skrzydle, które zajmował, skład zapewne jakiś zrobiono, bo tarcicami pozabijano drzwi i okna... Tam gdzie zwykle mnóstwo ludzi się zwijało — teraz cicho było i pusto... Kilka kobiet rozwieszało bieliznę grną na resztkach sztachet pozostałych.

Blady i przejęty widokiem tym, przybył Zdzis do Wólki. Zwykle wesół twarzyczka Stasi wydała mu się przy powitaniu nad wyraz smutną i chmurną, chociaż najżywsze wyrażającą współczucie. Kapitan z nią razem wyszedł w ganek naprzeciw Zdzisława

Stasia spojrzeniem odgadła, że przejeżdżali koło Samoborów... nie potrzebowała pytać o to... Znalazła Zdzisława zmienionym wielce, spoważniałym, innym. Nie mniej się jej, może więcej niż dawniej

podobał. Otaczał go w istocie urok, jaki ma dla poczciwych. młodych serc niedola...

— Była to pora obiadowa — zostali więc godzin parę... Kapitan więcej był z Żabickim. Stasia zabawiła Zdzisława. choć trudno było słowo rzec, któreby o smutną przeszłość. o smutniejszą jeszcze przyszłość nie potrącało...

Zdzisław chciał być wesołym. a przynajmniej meżnym i niepiszczącym nad sobą.

— Kiedy my się i gdzie zobaczymy znowu? odezwiała się Stasia siedząc po obiedzie u okna. przy którym stały jej krosienka.

Zdzisław spojrział i westchnął.

— Nie wiem. rzekł. czy tu już kiedy powrócić będę miał siłę. co ze mną uczyni los — ludzie.. ja sam wreszcie... że my sobą najmniej sami władamy. Mógłsem się przed kilku miesiącami spodziewać. że w ten sposób, w tej żałobie opuszczać będę te strony?

— To właśnie zaręcza, iż równie niespodziany a szczęśliwy kiedyś powrót być może—odpowiedziała Stasia żywo. Los jest dziwaczny... ale dziwactwa jego są różne... Miejmy nadzieję. że i dobry kaprys trafić się może...

— Życzę go dla pani, a nie spodziewam się dla siebie — odezwał się Zdzisław... Dźwięk jej głosu mówił doń teraz całą przeszłością i urok miał dlań czarodziejski... Dziewczę się usmiechało łagodnie.

— Nie zapominaj pan o nas — ja nawet powiem: o mnie... Byliśmy i pozostaniemy przyjaciółmi waszymi. nic nas nie zmieni... Jeśli wam ciężko i smu-

tno będzie między ludźmi na świecie, wróćcie do nas na wypoczynek i pokrzepienie.

Podawała mu rękę drżącą.

— Daj mi pan słowo na to! zawołała żywo—rękę i słowo!

Zdzisław wyciągnął dłoń.

— Dziękuję pannie Stanisławie, rzekł cicho — dajesz mi pani na odjezdne najmilszą pamiątkę... Wiem przynajmniej, że tu na przyjaźń czyjaś liczyć mogę...

— Zawsze... dorzuciła Stasia rumieniąc się, przekonasz się pan o tem...

Na krosienkach leżały ostatnie jesienne kwiatki, gdzieś w zaciszu jeszcze wypielegnowane przez słońce... Zdziś wziął bledziuchną różyczkę, z której część listków osypała się. i nic nie mówiąc ją schował. Stasia żywiej się zarumieniła...

— Pojedzie ze mną, aby mi tę chwilę przypominała — odezwał się cicho...

— Ale niech z panem — powróci! dodała Stasia ciszej jeszcze...

Żabicki naglił do drogi... Konie już stały... żegnali się więc milezący, wzruszeni wszyscy... Zdziś skoczył na wózek... a długo oglądając się za siebie, widział w ganku jasną sukiewkę... i białą chustkę powiewającą pożegnaniem zdaleka.

\*

\*

\*

Wieczór był jesienny. jednego z tych dni ciepłych i letnich jeszcze, które są u nas gośćmi rzadkimi. Niebo się złociło z jednej strony od zachodu, z drugiej wytryskiwały na niem blade gwiazdki, mrużące oczkami, jakby ze snu wstawały. Miasto już się w dalszych swych ulicach układało zawczasu do spoczynku. Cicho w nich było. gdzie niegdzie tylko okien kilka rzędem błyskało jaskrawo obok przyciemnionych i czarnych... Po chodnikach parami i z osobna przechodnie ku drzwiom dążyli. Ruch już tu ustał był zupełnie z dala tylko kiedy niekiedy ozwał się turkot powozów jak grzmot odległy... i zwolna ginał w głębinach...

Na trzeciem piętrze starego domu, które miało prawo nazywać się poddaszem, w otwartem oknie. oparty o nie. siedział zamysłony. wypatrzony w niebo Zdzisł. Były to jego pierwsze dni nowicyatu jeszcze nierozpoczętych kursów uniwersyteckich...

Pierwszy raz zostawiony sam sobie, czując się tak bez opieki rzuconym na bruk obcego miasta, dumiał rozważając, jak ma i co począć... Chciał wszystko obmyślić wcześniej, ustrzedz się omyłek, fałszywych rachub i zawodu... Całą przyszłość musiał być winien sam sobie. przygotować ją i stworzyć. Wprawiało go to w pewną dumę, chociaż chwilami rodziło i trwogę...

Nienawykły był do takiej odpowiedzialności przed sobą samym. Najtroskliwszą opieką otoczony od

dzieciństwa, wypieszczony przez matkę, która go ubóstwiała, wykołysany na pochlebstwach, wprowadzony w dumę — czując się jakąś istotą wybraną czas długi, teraz gdy stracił to wszystko, co go na falach trzymało, o własnej sile wahał się postawić kroku.

Kształcono w nim wszystko, oprócz tej sprężyny, co całym włada człowiekiem i życiem kieruje całym, oprócz woli. Wyrobiono w nim nczucia, popędy, idee; gimnastyką mniejącą wprowadzono myśl obracać się zręcznie; ale tych darów, jakie miał i mógł nabyć, nie wyczono go używać. Nawykł był do życia gotowego, do wyznaczonych dróg, do nadziei nieomylnie świetnych losów—nagle świat się dlań zmienił w pełną strasznych niespodzianek zagadkę, i znalazł się w stanie człowieka, któregooby wesołe towarzystwo z muzyką i śmiechami zaprowadziło w głąb puszczy i zostawiło w niej samego... bez sług, bez zapasów, bez świadomości gościńca...

Chwilami nabawiało go to przerażeniem, to znowu wlewało rozpaczliwe niemal męztwo.

Czuł się straszliwie samotnym, gdy wprzód chwilę sam z sobą nie był. Świat i ludzie, co go otaczali, kręcili się tak obojętnie każdy w swą stronę... na niego nikt nie zważał, o niego nikt się nie troskał, nikt o nim nie pomyślał.

Był w strasliwym wyrazu tego znaczeniu—sierotą.

Z tym kamieniem sieroctwa na sercu przybył na miejsce przeznaczenia, do Berlina — dokąd się wprzód wybierał, z profesorem Wilemskim, kamerdynerem, służbą, dworem, koźmi, a teraz się dostał sam jeden o małym tłumoczku, z niewielkim za-



pasem grosza i bez stałego jeszcze postanowienia co ma uczynić z sobą, do jakiej dążyć i sposobie się przyszłości.

Wszyscy, których pytał o radę, zbywali go najpospolitszą; — życzo no mu iść za instynktem niemylnym młodości. za powołaniem, jakie czuje w sobie. Zdziś badał siebie i nie mógł jeszcze znaleźć w głębi ani owego nieomylnego instynktu, ani żadnego powołania i usposobienia. Instynkt w nim zabila najtroskliwsza opieka, o powołaniu innem jak do szczęścia i dostatku nigdy nie myślał. Wabiło go wszystko co piękne.... literatura szczególnie... ale Żabicki w ostatnich rozmowach powtarzał mu nieraz, że ona daje wieńce nieśmiertelniczek, sławę, kadzidła, cierniowe korony w ogniu złożone, uwielbienia tłumu, oklaski, nienawiści potężne, nieprzyjaciół, nad których gorętszych życzyć nie można, i przyjaciół, nad których niezręczniejszych znaleźć niepodobna, — słowem wszystko czego dusza zapragnie, oprócz stanowiska i chleba.

Pisarz, poeta staje się pewnego rodzaju parą — sfera, z której wyszedł, usuwa się od niego. inne przyjąć go nie chcą. Zostaje osamotniony ze swą wielkością i znękaniem. Żabicki mówił mu wiele i długo o tem i o innych rzeczach, które Zdziś rozbierał długo i nie rozumiał ich jasno; najwymowniejsze dlań wszakże było to, że ten sam Żabicki, co deklamował unosząc się Mickiewicza i Krasńskiego, postanowił — uczyć się medycyny...

Tłómaczyło się to w nim wprawdzie tem, że dla niego uczenie się samo było rozkoszą i celem, ale się też nie zapierał, że się spodziewał zdobyć

niezależność i ten nieszczęsny chleba kawałek, który najprzód mieć potrzeba, ażeby być spokojnym i zacząć potem żyć, obracać się... myśleć i pracować.

Tej niezależności od głodu potrzebował i Zdziś teraz... Miał może mniej, a pewnie nie więcej od Żabickiego, tamten był zbrojny wolą żelazną, wytrwałością, odwagą — Zdziś nawet nie wiedział co miał w sobie, bo nigdy na żadną nie był wystawiony próbę. Zstępował do otchłani swojego serca, i było mu tam ciemno i zimno. Na dnie jego leżały zwłoki przeszłości, a za niemi nie mógł dojrzeć nic...

Niczego się tak nie obawiał Zdziś jak tego, do czego był najskłonniejszy — marzeń. Zaprzysięgał, że sobie roić nie pozwoli, jak niegdyś snił rozkosznie, że budować musi wszystko na gruntownych podstawach rzeczywistości, a mimo to sam się chwycił co chwila na jakiejs wycieczce w świat niebieskich migdałów. Wyobraźnia niosła go, oprzeć się nie umiał. Zdawał się rachować na to, co możliwe i konieczne, a w rzeczy spodziewał się cudów, liczył na macierzyńską Opatrzność.

Cuda u niego należały do rzeczywistości...

Od dni kilku tak nic jeszcze nie poczynając bawił w Berlinie... W istocie czekał na Żabickiego, na którego pomoc się spuszczał — ale go dotąd nie było. Znajomych miał jeszcze niewielu, w świecie dla siebie nowym zorientować się było mu bardzo trudno.

Oprócz jednego listu, nie miał zalecenia do nikogo. Kapitan Porowski, przed samym jego z Wól-

ki wyjazdem, przypomniał był sobie, że przyjaciel jego, bodaj daleki krewny, który przez dosyć dziwne przechodził losu koleje, który, jak on, w młodości był wojskowym, potem długo profesorem w Wilnie, doszedłszy szczęśliwie emerytury, a jeszcze szczęśliwiej majątku, przez szczególny skład interesów rodzinnych, zapędzony został do Berlina. Dał więc Zdzisławowi list do niego na wszelki wypadek.

— Znajdziesz go tam, kochany hrabio, czy nie. za to ręczyć nie mogę; człek, kawałek dziwaka, ale najpocziwszy w świecie—mówił Porowski wręczając list z wielką pieczęcią pokapany lakiem... Powiadam wam, do rany go przyłożyć. choć się wyda nieraz szorstkim i ma swe wybryki. Czuć w nim i kapitała artyleryi, i profesora matematyki, i starego szlachcica. . Czy się wam przyda na co, czy nie, zawsze jaka taka pomoc i punkt oparcia...

Zdzisław przyjął list z wdzięcznością wielką. miał teraz mało stosunków i niewiele ludzi co by się do związków z ich domem i obowiązków dla niego poczuwali... Wprawdzie dwaj bracia nieboszczki hrabiny osiedli gdzieś byli za granicą. ale o tych Zdziś nie wiedział nawet z pewnością gdzie mieszkali. Rachować na nich ani było podobna, gdy od lat wielu. za życia hrabiny Julii, nigdy się do niej nie zgłaszali.

Ów więc ex-kapitan i ex-profesor, pan Kajetan Puciata. gdyby się go wynaleźć ndało, mógł się bardzo przydać, choćby dla przestrzeżenia o wąwozach i dziurach na nieznaney drodze. w obcym kraju.

Zdziś na przemiany sieroctwem się trapił i upijał. Nikogo! samemu trzeba było obmyślać wszystko, robić, służyć, kierować. Uśmiechał się gorzko! Wydawało mu się to impertynencyą losu, który tyle obiecawszy, nagle zbankrutował. Powinien się być upamiętać przecie? Wzbijała go w dumę ta próba, która w jego przekonaniu długo trwać nie mogła... los się musiał opamiętać, społeczność poprawić...

Tymczasem jednak Zdziś jak mógł i umiał się ratował. Wynałazł już był sam i wybrał sobie owo mieszkanie akademickie na trzeciem piętrze.. Wprawdzie po apartamentach w skrzydle pałacu... było to liche, ale być miało chwilowem...

Ubóstwo bawiło go jako coś niezmiernie oryginalnego — bo prawdziwego niedostatku nie znał jeszcze. Pokój ten najęty na poddaszu o dwóch oknach od ulicy, był obszerny dosyć i czysty. Gospodarz co rok po jakimś akademiku zmuszony był go całkiem odświeżać i wyporządkować. Oddawał go bardzo pokaznym, odbierał zwykle w ruinach, ale do tego był już przygotowany, wchodziło to w rachubę.

I teraz po wakacyach lokal wyklejony nowym papierem szarym. wyglądał skromnie, ale przyzwoicie. Meble miały podorabiane nogi i wszystkie były lakierowane na nowo. Podłogę także pomalowano dla pokrycia wad organicznych.. Obok tego uby salonu, który miał być razem jadalnią, biblioteką i pracownią. Zdziś miał jeszcze alkowę ciemną, przeznaczoną na sypialnię i drugi kątek na graty, które światła słonecznego lękać się miały prawo.

W kącie piecyk żelazny z wdziękiem i smakiem wyrobom niemieckim właściwym, przedstawiał rodzaj

rotundy, na której wierzchu znajdowało się jakieś naczynie niby starożytnej formy.

Salon popielaty, przy tych ściśle tylko potrzebnych sprzętach, które o przyozdobieniu go wcale nie myślały, chędogo wyglądał. choć skromnie. Zdziś nawykły jednak do tego, aby to, co go otaczało, niejaki miało wdzięk i ozdobę, mówił sobie po cichu, że bez wielkiego kosztu uczuciu artystycznemu dogodzi drobnemi dodatkami...

Chciał więc trochę zieleni i kwiatów, oraz jakieś u okien zasłonki...

Jeden z ocalonych dywaników położył już pod stolikiem, którego prostota zawstydzona była tym ko-biercem lepszych czasów innego przeznaczenia...

Mnóstwo drobnostek panna Róża, doktor, kapitan, prezes postarali się dlań ocalić i wyrwać panu Sebastyanowi... Kosztowne te i wytworne pamiątki, równie jak dywanik, sprzeczały się z ubogiem mieszkaniem... Na stoliku stał portret hrabiny Julii w ak-samitnej z bronzami ramie. przy nim przepyszny przyrząd do pisania, angielskie i inne ładniuchne fra-szki...

Pomimo wyrzeczenia się swoich tłomoków, Zdziś odzyskał później część ich zostawioną w Warszawie, te dlań ocalały. Miał więc około siebie aż nadto elegancyj, które mogły fałszywe dawać pojęcie o jego położeniu. Gospodarz, który mu to tanie i skromne wynajmował mieszkanie i tytułował go grafem, nie mógł się wydziwić. że tak wyekwipowany młodzieniec nie szukał sobie piękniejszego apartamentu.

Zdziś, który się chwalił swem ubóstwem. jak młody żołnierz pierwszą raną w boju otrzymaną, wy-

tlómaczył mu zaraz, że to były tylko resztki zamożności dawniej, którą utracił. Wyznanie to zdziwiło Niemca i zbudowało: pierwszy raz spotykał się z taką prawdomównością w młodzieńcu... Skłonił się, nie odpowiedział nic, ale ją umiał uszanować...

Zdziś już się był rozgospodarował zupełnie. Po dziecinuemu do drobnostek przywiązywał wagę zbyteczną. Adres swój, na wypadek przybycia Żabickiego, którego wyglądał niecierpliwie, zostawił w akademickiej gospodzie, którą miał sobie wskazaną. Od dwóch dni już spodziewał się go co chwila... Samo to oczekiwanie, które on sobie przyjaźnią tlómaczył, świadczyło, że potrzebował oprzeć się na kimś, a własnych sił nie czuł jeszcze...

Tęskno mu było, ol tęskno okrótnie... Wśród tej ciszy, co go otaczała, wśród samotności, wszystko co tak gorączkowo przeżył w czasach ostatnich, wracało do myśli, oraz serca... Czasem łza nawet zakręciła mu się w oku...

Tak dziwnie odmiennie przedstawiało się teraz to życie marzone niedawno rajskim pochodem do zapomnianego szczęścia. Opuścili go wszyscy — oprócz tych, na których najmniej rachował. Przed oczyma duszy przesuwawa się Elsa, której pączek różany zachował... patrzała nań zinnemi a przenikającemi oczyma... potem zjawiała się Stasia uśmiechnięta ze łzami... i cały ów świat, który go w Samoborach otaczał.. Przy nim nikogo nie było... Żabicki nawet nie spieszył.

Kochane Samobory.. i one były dziś pustką i cmentarzem... Ogród trzebiono na pole, pałac rozbierano na cegłę.. w gnieździe, w którym królowała

piękna hrabina Julia, panował dziki człowiek bez serca...

Jak błyskawica przelatywało wspomnienie ostatniego dnia szczęścia. Los z ironią sobie właściwą, nim go zrzucił w przepaści, pożegnał pocałunkiem ostatnim.

W ulicy na niebie coraz się robiło ciemniej. Zdziś naostatek roz budził się z marzeń próżnych, ruszył od okna przez które tylko czarne szczyty pozbione na niebie jaśniejszem widać było, i poszedł szukać światła, bo w pokoju noc już panowała.

Przygotowana lampka, w którą się już opatrzył, stała przy drzwiach na małym stoliczku — poszedł ją sobie sam zapalić, będąc pewien, że spełnia czyn heroiczny... Właśnie się kończyła ta operacya dosyć niezręcznie wykonana, gdy do drzwi zapukano.

Nie spodziewał się już Zdziś o tej porze niko-go — spojrzał więc na drzwi zdziwiony nieco — a postzegłszy młodego chłopaka wysmukłej postaci, który nieśmiało wchodził, uśmiechając mu się — podbiegł żywo ścisnąć jego rękę...

Gość ten był rówiennikiem Zdzisia; na pierwszy rzut oka poznać w nim było łatwo panicza także. wypieszczone dziecię, wychowane w dostatkach. potomka niebieskiej krwi, po której pełne stylu odziedziczył rysy. Różnicę między nimi stanowiło to tylko. że przybyły ze zbytnią elegancją i wytwornością był ubrany, gdy Zdziś z pewną przesadą i na okaz zaniebdanie się nosił i ubogo. Dochodziło to do tego stopnia. iż postanowił był odzwyczaić się od rękawiczek nawet, chociaż dotąd nie miał jeszcze odwagi się ich wyrzec zupełnie. Kilka par miał do znoszenia.



Gość słusznego wzrostu, niezmiernie zręczny i gibki, miał twarz na mężczyznę do zbytku piękną i zdawał się wiedzieć o tem... Niebieskie oczy, blond włosy długo spływające na ramiona, śliczny owal twarzy, rysy klasycznej regularności, czyniły go jak obrazek ładnym... Na ustach błdził uśmiezek zalotny... Ruchy i postawa sztywne były nieco i wyszukane... Spoglądał nieśmiało, mówił powoli, zdawał się badać i pytać nim krok naprzód postawił, nim wyrzekł słowo...

Była to nowa znajomość. Zdziś z tym młodzieńcem przybyłym także do uniwersytetu, właśnie się zapoznał przed kilku dniami. Młody hrabia przybywał z Wołynia, ten z głębi Litwy, jak mówił. Oba od razu jakoś bardzo przystali do siebie. Wychowanie ich było prawie jednakowe, oba prześlicznie mówili po francuzku, oba muzykami byli, lubili konie... a w obejściu się mieli ton i wykształcenie ludzi do salonu stworzonych. Zdziś zapoznając się z tym towarzyszem, był w początku przekonany, że posłyszysz jakieś historyczne nazwisko.

Wszystko się to zdawało obiecywać, a szczególnie ta aż do zniewieściałości wypieszczona pokoleniami krew, te śliczne rączki maleńkie, nogi arystokratyczne, głos pełny słodyczy, dystynkcyja ruchów.—typ wielkiego rodu. Zdziwił się więc Zdziś niezmiernie, gdy później z ust jego posłyszal nazwisko wyrzeczone po cichu, jakby ze wstydem, zupełnie nieznanie, nic nie mówiące, do pseudonimu podobne: Alfonsa Roberta... Spytany o rodzinę, nowy znajomy, zagadał o czem innem, widocznie tłómaczyć się nie życząc... Spuszczał



oczy i oblewał się rumieńcem, jakby mu to przykrość czyniło.

Była w tem tajemnica jakaś smutna. o którą przyzwoitość badać nie dozwalała. Pierwszego dnia spędzili z sobą godzin kilka, zbliżając się, badając i spoufalając z właściwą młodym pochopnością. Zdziś od razu, jak przed gospodarzem. tak przed panem Robertem wypowiadał się ze swej dramatycznej przeszłości. Obaj nie mieli znajomych, obu było tęskno, przyrzekli z sobą nazajutrz zejść się znowu. Pan Alfons Robert zaprosił Zdzisia do siebie.

Znalazł go przyszedłszy, rano w mieszkaniu nie tylko wygodnem, ale wykwintnie urządzonem. Groom przybrany w nową liberyę drzwi saloniku otworzył. W pokojach kilku wszystko zdradzało dostatek i nawyknienie do zbytku.

W sypialni, nad łóżkiem pana Alfonsa, uderzył go portret przez Winterhaltera malowany, dziwnie pięknej kobiety, uśmiechniętej zalotnie, strojnej, okrytej koronkami, aksamitami i jaśniejącej życiem a młodością... Rumienniejąc się powiedział mu pan Alfons, że to była matka jego... Pomimo wdzięku wizerunek ten zastanawiał wyrazem, jakiego piękności świata wielkiego nie mają — było w nim coś wyzywającego, śmiałego. namiętnego do zbytku... Malarz napróżno starał się złagodzić uśmiech. przygasić oczy, skromniejszą uczynić tę kobietę, której natura płomienista utaić się nie dała. .

Obok na biurku był mniejszy portret mężczyzny podżyłego, przypominający Alfonsa, — sztywny, w postawie wyszukanej, i niewiele mówiący. W tym łatwo było poznać ojca... Gospodarz na zapytanie

o oba portrety odpowiedział sucho. krótko, zarumieniał się i co najprędzej rozmowę od tego przedmiotu odwrócił. Zdżisia szczególnie kobieta zająca... była promienisto piękną... niemal straszna...

Z rozmowy dowiedział się hrabia, że młody przyjaciel jego musiał być bardzo majątny i życie sobie urządził bardzo wygodnie. Zdżis miał program anachorety, z którym się nieomieszkał pochwalić.

W tym dniu nie spotkali się z sobą, i — pan Alfons stęskniony widać, przyszedł choć późno odwiedzić Zdżisława. Przywitali się uśmiechając.

— Dziś nie miałem szczęścia — rzekł przybywający zawsze nieśmiało i pieszczono — nie znalazłem hrabiego nigdzie... a do mnie zajrzeć nie byłeś łaskaw.

— O! nie chciałem się panu naprzykrzać... i...

— Rzućmy tego „pana“ przerwał Alfons podając rękę — proszę.

— Ale rzucmy też i „hrabiego“ dodał Zdżisław, uśmiechając się nie bez goryczy — tem bardziej, że ja postanowiłem wyrzec się nawet tego ciężącego tytułu. który dziś jest dla mnie niestosowny. Siadajcie...

Zdżis własnoręcznie lampkę przeniósł na stół przed kanapę — zasiedli razem ..

— Widzicie — odezwał się Zdżisław, jak wysoko i ubogo pomieścić się musiałem... Jestem zmuszony się oszczędzać i być surowym dla siebie... Trzeba odwyknąć od wygod i zwyciężyć stare nałogi...

Westchnął...

— Ale tu nie jest ani tak źle, ani tak bardzo wysoko — przemówił Alfons rozglądając się — owszem, ja tu znajduję...

Rozśmiali się oba.

— Mój służący niedawno miał daleko ładniejsze mieszkanie — rzekł Zdzisław — ale à la guerre comme à la guerre... cóż mi tam!!!

To gorzej, że mi mój dawny nauczyciel. przyjaciel raczej, który miał przybyć także do uniwersytetu, dotąd nie przyjeżdża... Cały dzień, spodziewając go się co chwila, nie ruszałem się z domu... O! dziękuję wam, żeście zajrzeli do mnie choć późno... bo dzień spłynął mi bardzo nudno. Nie ma nic przykrejszego nad oczekiwanie — daremne...

— A! przepraszam, przerwał Alfons smutnie przykrzej jest nie mieć na co czekać i czego się spodziewać.

Zdziś ruszył ramionami...

— Ja znowu — odezwał się — nie daję sobie wydrzeć nadziei, ani wątpię o przyszłości...

Pomilczeli trochę. Alfons spojrział na zegarek...

— Ja przyszedłem właściwie po was, rzekł — już dziś wasz przyjaciel, chociażby przyjechał, nie przyjdzie pewnie, zabieram was z sobą na wieczerzę... Poznacie u mnie dwóch jeszcze naszych ziomków... a po dniu nudów rozerwiecie się trochę...

Zamyslił się Zdziś surowo...

— No — tak — dziś to jeszcze uchodzi — dodał, ale później nie wyciągniecie mnie do siebie. Ja muszę

pracować ogromnie i do bardzo surowego nawykać życia, u waszym się rozpiescił...

Wstali.

— Chodźmy, rzekł Alfons — obejmując ręką Zdzisława — co będzie jutro... któż wie? tymczasem dobrą chwilą wesoła.. Młodzi jesteście. zabawić się trzeba...

— Jam przestał być młodym — wtrącił Zdzisław... lecz teraz u mnie jeszcze wakacje... za kilka dni się zamknę...

Pomimo tak smutnej zapowiedzi, schodząc ze wschodów, śmieli się oba. Zdzisława opowiadał o swoim Timurze i o czterech siwkach straconych. Alfons przyznał się, że myśli trzymać wierzchowca...

— A! szczęśliwy jesteś! dodał Zdzisław.

— Szczęśliwy! ironicznie powtórzył towarzysz i westchnął ciężko...

W drodze zmieniła się znów rozmowa... latała ona jak młodość, jak motyle. muskając wszystkie życia kwiaty po drodze...

Roberta mieszkanie dosyć było odległe a bliższe Lipowej ulicy... mieli więc czas z wielu się sobie znówu wypowiadać rzeczy... Zdzisław mimowoli uczył się rozweselonym, choć czuł zgryzotę sumienia, bo mu przystało być smutnym... Lecz można się oprzeć młodości?

Wchodząc na wschody, posłyszeli muzykę w mieszkaniu Roberta, który miał pianino u siebie.

— Jest już ktoś u mnie, rzekł pospieszając gospodarz... to pewnie Roszek...

Roszek nie znał Zdzisława... W pokoju stała już lampa na stole, a przed pianinem z cygarem

w ustach siedział chłopak krępy, gruby, barczysty, niskiego czoła, zadartego nosa, dosyć brzydki, małych oczek czarnych, ust szerokich i mięsistych, z głową krótko ostrzyżoną, ubrany niepocześnie. Był to w istocie ów zapowiedziany Roszek...

Wstał od pianina widząc wchodzących. spojrzął na nich bystro i zawołał:

— A to ślicznie, gospodarz zaprasza i wychodzi z domu...

— Wszak Groszek musiał powiedzieć, że wrócę za chwilę... chodziłem po hr. Zdzisława Samoborskiego...

Pan Roch Puciata...

Zdzisław podał rękę zdziwiony nazwiskiem...

— Puciata... powtórzył mimowolnie...

— Dziwnie się pewnie moje litewskie nazwisko wydaje — począł śmiejąc się Roszek. Mamy takich podostatkiem w naszym herbarzu. Puciata... Pokubiata... Łopata... Aleśmy dlatego stara szlachta i nad tarczami nosimy kniaziowskie mitry...

— Ja się nie dziwię nazwisku — odpowiedział Zdzisław — tylko mnie nderzyło, bo mam list polecający do pana Kajetana Puciaty...

— Rodzoniuteńkiego ojca mojego — rzekł zwawo kłaniając się i podając rękę powtórnie Roszek.

— Cóż to za szczęście! zawołał Zdzisław — a jam się go ani spodziewał odszukać...

Spojrzeli sobie w oczy jakby bliżej poznać się pragnąc...

— List od kogo? spytał Roszek.

— Od kapitana Porowskiego, dawnego towarzysza broni...

— O którym ojciec często wspomina, począł

Roch.—Nim się poznać z ojcem: macie mnie gotowego na usługi... jam tak jak Berlińczyk...

Śpiewając na cały głos wszedł jeszcze jeden gość... Wywodził—Gracel z „Roberta“ i nie bardzo mu się udawało...

Był to mężczyzna już starszy od wszystkich zgromadzonych, pewny siebie, wyglądający na bursza. niepiękny, ospowaty ale imponującej postawy. Czoło miał wysokie i wypukłe, nad brwiami sterczące kości, wyraz twarzy niemal zuchwały... Ręka, którą podał gospodarzowi, mogła zgnieść wątłą dłoń jego jak listek...

-- Pan Sylwester Majak... przedstawił gospodarz...

— Stary bursz, który was lisów młodych zaszczyca swojemi odwiedzinami.

To mówiąc bez ceremonii padł na fotel i nucił począł rozglądając się po przytomnych. Szczególniej śnać Zdzisł musiał zwrócić jego uwagę, bo od niego długo oczu odwrócić nie mógł...

Na chwilę rozmowa się przerwała i wszyscy jakos milczeli, gospodarz rozsadzał gości, podawał cygara i z wielką uprzejmością wszystkim chciał znaleźć jak najdogodniejsze miejsce. Zdzisław usunął się trochę na bok, aby uniknąć przenikliwego wzroku Majaka...

— Cóż na porządku dziennym? odezwał się pan Sylwester... Szanowne zgromadzenie...

— Pić będzie herbatę — rzekł uśmiechając się Alfons...

— Z przekąską — dodał Sylwester — to nie nlega wątpliwości, ale z akompaniamentem duchowym... brzmiających słów i gorących rozpraw. O czym?

— Zostawiamy wam jako najstarszemu wybór przedmiotu—odezwał się kłaniając Roszek. Pedant jakiś chce nam tę odrobinę swobody, którą tu mamy. zatruc zaraz jakimś żelaznym programem.

Majak się rozśmiał....

— Pan Samoborski. rzekł zwracając się do Zdzisława—na jaki wydział myśli uczęszczać?

— Jeszcze dotąd stałego postanowienia nie mam...

— Na węzełki pociągnąć! dodał bursz.

— Prawiebym to gotów uczynić—przerwał Zdziś. gdybym.. gdybym się nie lękał ironii losu. Sobie nie bardzo wierzę.

— Los bywa nie głupi—wtrącił Majak... ale w uniwersytecie jak u zastawionego stołu, trzeba pytać apetytu ku czemu prowadzi...

— A jeśli apetytu zgoła nie ma? przebaknął Zdziś.

— Choroba, na którą się leczyć trzeba—wtrącił Roszek...

— Apetyt przyjdzie — odezwał się Majak; a tymczasem jak w chorobie radzić się rozumowania, gdy instynktu braknie. O co idzie? czy żeby się uczyć i kształcić? czy żeby żyć...

— Myślę, że o jedno i o drugie. nieśmiało szepnął gospodarz.

— Czasem się oboje godzi z sobą, ale rzadko... począł Majak — lecz nadto poważnie coś argumentujemy. .

— Jak się panom nowo przybyłym podoba miasteczko? spytał nagle Roszek... spoglądając po dwóch paniczach.

— Ja go wcale nie znam -odparł Zdziś.

— A ja bardzo mało...

Niebie kie Migdały. T. II.

— Dziura, rzekł aforystycznie Majak, ale się w dziurze uczyć można... szczególnie ktoby mustry chciał... bardzo łatwo... od czasu Fryderyka W., który Prusy zrobił wielkimi koszarami...

— Masz, już z polityką jedzie — wtrącił Roszek, nieznosny...

— Berlin niesłychanie prozaiczny mi się wydał, rzekł Zdzis — miasto jak z igły, nie ma nic nudniejszego w świecie...

— Czy pan na poezję chorniesz? zapytał Majak; żalby mi pana było szczerze, bo nie ma na teraźniejsze czasy niebezpieczniejszej choroby. Kochana ludzkość przeżyła wiek młodości i poezji, przyszła do rozumu i szuka chleba...

— Szkoda, żeśmy się za innych czasów nie rodzili — zawołał Roszek.

— Nie mieliśmy wyboru — mówił Majak — lecz, na prawdę, cóż obrać myśli pan Samoborski?...

A po chwili dodał:

— Czy pan z Wołynia? tam w Samoborach są bardzo majetni tego nazwiska.

— Tam ja właśnie byłem — odparł Zdzis z lekkim ukłonem, — dobra te nam zabrano...

— Jako? całe?

— Został mi tłumoczek, z którym tu przybyłem, i — nadzieja... rzekł Zdzis nieco żywo i patetycznie...

— Ale ba — odezwał się Majak — zostało panny wychowanie jakie odebrałeś, a które też liczyć się powinno za kapitał...

— Czy i pan z Wołynia jesteś? spytał Zdzis.

— Nie — ałem tam bywał — szybko odpowiedział Majak...



Wśród rozmowy otworzyły się drzwi do drugiego pokoju, groom w białych rękawiczkach stał w progu. Widać było stolik bardzo elegancko przygotowany do herbaty. Majak westchnął.

— Coś to mi na akademicki traktament nie wygląda — odezwał się — nadto suto i wytwornie, popsujesz nas panie Alfonsie; a ta elegancja jak gorset swobodnie się ruszyć nam nie da ..

— O! o! rzekł gospodarz... zmiłuj się pan.

Majak wstał i bez ceremonii poszedł pierwszy. Zdziś pociągnął z gospodarzem na ostatku...

Wchodząc Sylwester bacznie się rozpatrzył po stoliku. Stały na nim flaszeczki z sokiem wisniowym i malinowym. Wziął je w ręce, popatrzał na napisy.

— Czcigodny gospodarzu — zawołał — ty coś niedawno pewnie mleko przestał pijać na podwieczorek, istota sielankowa i niewinności pełna. jakże mogłeś przygotować herbatę dla akademików, i nie postawić ani rumu, ani essencyi ponczowej?

Zarumienił się mocno Alfons i skinął na grooma, który wybiegł szybko.

— Przepraszam za niegrzeczność — rozsiadając się na pierwszym miejscu mówił Sylwester — ale szczerze powinna być znamię młodości, a szczególnie akademików — ja herbaty bez rumu lub dodatku jakiegos energicznego nie rozumiem... to wszystko jedno co rumianek, z tą różnicą, że mniej śmierdzi..

Śmieli się... Groom wpadł niosąc we dwóch rękach esencje ponczową i butelkę jamajki, którą przed Majakiem postawił... Sylwester odkorkował i powąchał.

— Teraz jesteśmy w porządku... ortodoksja akademicka ocalona—rzekł poważnie,—a ja powracam do zapytania mojego—o wyborze przedmiotów do studiów. Pan Roch Puciata ma głos...

— Cóż u kaduka! przerwał Roszek zacierając szorstkie włosy — wszakże wiesz, że drugi raz z rozkazu ojca chodzę na matematykę, której nie cierpię.

— A cóż cierpisz? zapytał Majak

Roszek spuścił głowę...

— Daj ty mi pokój...

Począł mięsząć gwałtownie herbatę i dolał rumu... Wszyscy milczeli...

— Pytanie było dla zachowania formy, paplał Majak rozpierając się coraz wygodniej—sekret pański jest mi wiadomy... masz powołanie do muzyki, a każą ci rachować...

Ojciec ma słuszność: muzyka... to dobre dla Cyganów, których gdzieindziej nie puszczają — długi czas żyli nią Włosi, póki nic innego robić im nie dawano... ale nam...

Roszek spojrzał oburzony...

— Błźni! zawołał.

Sylwester śmiał się bębniąc palcami po stole...

— Waćpanowie bo wszyscy jeszcze bez mała żyjecie w przeszłości, gdy ludzkość była młoda i nauki jej na drnmlach grały... Mnzyka to belkot uczucia, a my już, dzięki Bogu, mówić umiemy, a dzięki Hegłowi może i czynić się nauczymy...

— Błźni! powtórzył Roszek. niech mu gospodarz głos odbierze...

Alfons zakłopotany milczał i uśmiechał się,

Zdziś oczyma wielkimi patrzył na majestatycznego bursza, który w nim ciekawość obudzał.

— Jakto? przerwał nagle Zdziś: więc poezya. muzyka. sztuka w ogóle... pan im odmawiasz prawa do bytu i życia? pan...

— Młodzieńcze szanowny — rzekł poważnie Sylwester... wszystko to były kwiatki i strzępki, któremi ludzkość będąc bakfiszem bawiła się niegdys, ale dziś już na starą pannę wygląda — *et elle vise au solide*... Nie zaprzeczam zasług cywillizacyjnych sztuce, która tak dalece miękczyła trochę dziką panienkę. że ją aż nadto rozmiękczyła... a no, dziś — matematyki uczyć się potrzeba... Tak—panie Rochu — ojciec ma słusznosc... Z kwiatów poezyi i muzyki co najwięcej możnaby zrobić sałatę, a ludzkość potrzebuje sztuki mięsa...

Zdziś rozśmiał się. ale wstał od stolika i począł się wzdłuż niego przechadzać, nie chcąc wdawać się w polemikę z Majakiem. Ten palcami bębniąc po stole mówił dalej, jakby wykladał teorię słuchaczom.

— Tak, panowie moi—nie ma się co uwodzić... muzyka cygańska rzecz. sztuka dzieciństwo... musimy być realistami. bo w realizmie zbawienie ludzkości.

— Niechże do licha ginie lepiej—przerwał gwałtownie Roszek,—jeśli ma realizmem waszym żyć. boby jej życie nie smakowało nikomu...

— Młodzieniec się irytuje—odparł śmiejąc się Majak—i odwrócił się do Samoborskiego.

— Panie hrabio, bez żartu... co pan myślisz wybrać?

— Najprzód proszę mi tego tytułu nie dawać—odparł Samoborski — powtóre. najsumienniejszemu panu wy-

znaje, że nie wiem. Kształciłbym się pragnął, ale i o tem myśleć muszę, aby żyć...

— A można z panem mówić otwarcie? zagadnął Majak.

— Proszę bardzo — skłonił się Zdzisław...

— Co się tycze życia — począł Majak — zdaje mi się, że pan jesteś w szlachetnym błędzie. Hrabio-  
wie jak pan, młodzi, piękni, wychowani ładnie, z nazwiskiem, nie potrzebują jak my biedacy, zarabiać na chleba kawałek...

— Przepraszam! zawołał czerwieniąc się Zdzisław: ja chcę swej pracy być winien przyszłość, a nie...

— Nie fizyonomii i nazwiska — dokończył Sylwester. Ślicznie, cudownie... ale fałdów, fałdów przysiedzieć będzie tak potrzeba... że dalipan nie ręczy, czy to się panni sprzykry. I zamiar wasz byłby ze wszech miar godzien uwielbienia, gdybys pan..

Nagle spytał:

— Wiele pan masz lat?

Zdziś się zarumienił.

— Nie potrzebujesz pan mówić—dokończył Majak. już wiem... Otóż kto do tych lat był pieszczonem dziecięciem w kolebce szczęścia i dostatku, ten nie wiem czy potrafi naturę zmienić i nawyknienia.

— Panie—wybuchnął niemal obrażony Zdzisław, stojąc przed nim — właśnie za zadanie sobie stawię stać się nowym człowiekiem... i jak mówiłem... sobie samemu zawdzięczać przyszłość... Czuję w sobie siłę!

Od stóp do głowy w milczeniu zmierzył go oczyma Majak, popił herbatą, pokiwał głową i nic już nie mówił.

Nastąpiła cisza. Zdzisław był mocuo jakoś podrażniony. przysiadł się więc do pana Sylwestra.

— Pan mnie sądzisz niezdolnym? mruknął. patrząc mu w oczy ognście.

Sylwester rękę swą ogromną położył na jego delikatnych paluszkach białych.

— Cóżes pan winien. odezwał się łagodniej, że wam natura i wychowanie nie dały takiej łapy niedźwiedziej jak moja? Dziś gdybyś się pan wziął nawet do gimnastyki, ręki takiej nie wyrobisz sobie... W tej ręce jest dwóchsetletnia przeszłość. rodziców życie. miliony. któreście mieli... Nie w waszej mocy ją zmienić... Jesteście słabą istotą za grzechy ojców...

Zdziś brwi namarszczył.

— Przepraszam pana! zawołał. moje drobne palce mogą nabrać siły i zręczności. którą podolają tej potężnej dłoni. Cała siła nie jest w rękach...

Uderzył się w piersi.

— Mam ją tu...

— Cudownie! rzekł zimno Sylwester — już resztę wiem.

Roszek i Alfons przyklasnęli...

— Nie mam słuszności? zapytał Majak. oglądając się — większość głosów rozstrzyga.

Obejrzał się do koła...

— A no, tak, milczę, dodał skłaniając głowę; mówmy o czem innym...

— Przepraszam. ja żądam właśnie. byśmy mówili o tem. co nas obchodzi najżywiej. Pan na mnie wydałeś wyrok. lecz ja mu się nie poddaję...

— Wolno apelować do przyszłości — odezwał się Majak, który groomowi podał wypróbną filiżankę.

Wróćmy do rzeczywistości, a nie gońmy chmur: pytam pana, na jaki oddział chodzić zamierzasz?

— Mówilem panu, że nie nie postanowił jeszcze! zawołał Zdziś.

— Byłoby okrucieństwem wyprawić pana na medycynę... rozśmiał się Majak; my, co chcemy chleba i mięsa powszedniego, chodzimy na nią. Pan masz zawsze to hrabstwo... za sobą. Hrabia doktor medycyny, nie uchodzi... a potem?... Pójdiesz pan na prawo, cóż ci to z niego? Wykształcisz się na filologa? Ślicznie, ale chyba żeby się dobić katedry i na niej klepać biedę... Przystałoby ci być poetą, ale chyba ażeby w aureoli pójść w konkury, które i bez niej udać się mogą... Jeśli pan chleba szukasz i odzyskania stanowiska, to go nie ma...

— Przecież?... spytał Zdziś.

— Nie ma, powtórzył Majak.

— Za pozwoleniem — zaczął Roszek — mój ojciec, który, pomimo iż mi coś zostawić może, chce abym się sam dorabiał niezależnego bytu, wskazuje mi matematykę i inżynierię... Przecież to chleb daje.

— Nie wiem—rzekł Majak — Może... Skłonny jestem temu wierzyć. Więc dla pana Samoborskiego pozostaje do wyboru: medycyna niemożliwa, i matematyka... Jak pan jesteś z matematyką? zapytał.

Zdziś się zmieszał.

— Byłem nieczym uczniem — rzekł — nie wiem czy mam do niej dar szczególny, ale wyobrażam sobie, że to jest jedna z tych nauk, których wrota zarówno otwiera zdolność, jak praca...

— Ekstraordynaryjnie pięknie powiedziano! z naciskiem odezwał się Majak. Zatem widzisz pan, że

ja, stary bursz. na coś się przydałem: wyjaśniliśmy kwestyę przyszłości. rozciąliśmy gordyjski węzeł, a to mnieście winni, bez pochlebstwa.

Zdzisław się zamyślił. Gospodarz, który rad był od dawna zmienić tok i ton rozmowy. począł o czemś obojętnem, a Roszek odezwał się przez stół do hrabiego:

— Kiedyż pan z listem zechcesz być u mojego ojca?

— Kiedy mi pozwolicie? kłaniając się rzekł Zdziś.

— Ojciec z rana jest najwolniejszy. stoimy na Kom mendautenstrasse. Numer 10 — drugie piętro... mówił żywo Roszek, jakby się lękał, żeby śpiewający znowu Grace (fałszywie) Sylwester, i pomagający sobie bębnieniem po stole, nie wpadł w rozmowę. Przyjdź pan około jedenastej, ja czekać będę. Ojciec pewnie i was do matematyki pędzić nie omieszką, bo utrzymuje, że ona prowadzi do wszystkiego...

— Gdyby była inna droga—wtrącił Zdziś, nie przeczę, że wołałbyin inną. mniej suchą i ogółoconą...

— Przepraszam — przerwał wstając Majak... Nie chcę się znowu sprzeczać. ale wszystkie te nauki, które są postrojone. ożywione. zabawne... mają tę wadę, że są samozwanki i darmo się nankami nazywają. bo im to imię nie służy. Nauka musi być suchą... A ja żegnam panów, bo...

Spojrzał na zegarek.

— Muszę być jeszcze dziś w amfiteatrze, trup mi mój przepadnie..

To mówiąc dopił żywo herbaty... zapalił cygaro,

podał rękę z kolei wszystkim, i wyszedł maj statycznie przeprowadzony przez gospodarza.

Nazajutrz o godzinie jedenastej. Zdzisław ubrawszy się, z zasady jak najskromniej, z listem w kieszeni poszedł na Kommendantenstrasse. Był w usposobieniu osobliwszem od wczora. noc miał niespokojną. wzburzyły go sarkazmy pana Sylwestra Majaka, oburzał się przeciwko zarzutowi słabości i przepowiedni, którą mu w twarz rzucono...

Jednakże ta przepowiednia łatwego jakiegos szczęścia, do którego miał pewne prawo, chodziła mu po głowie...

Upokarzałoby go, gdyby los sobie z nim postąpił jak z dzieckiem, ale — ostatecznie przyjąłby był może z ochotą jego opiekę, choć sam przed sobą do tego się nie przyznawał...

Elsa była jedynaczką — ożenienie z Elszą dałoby na Zahorodzie i Jeziorany pod bokiem stryja i dozwoliłoby urządzić się dzikiemu prześladowcy...

Łudził się jeszcze życzliwością Mangolda, tłómacząc sobie ostatecznie z nimi widzenie się w Warszawie, jako ostrożność rodzicielską... opiekunczą, aby zbyt wczesnie serca ich się nie rozmarzały.



Gdyby Elsa go... nie kochała, cóżby za znaczenie miał ów pączek róży i wejrzenie oczek jej czarnych. nie mówiły tyle... niepojętych a cudownych rzeczy?

Dom pod numerem dziesiątym. wyglądał bardzo porządnie... Wschody na drugie piętro prowadzące oznajmowały mieszkanie wygodne i ładne. Przy drzwiach u dzwonka na mosiężnej tabliczce stał napis: „Staatsrath baron von Puciata.“

Baronowstwo zdało mu się nieco dziwnem, ale już go ostrzeżono. że tu wszystką szlachtę chrzczą na baranów. ażeby się przypadkiem nie zmieszała z prostym pospolitych śmiertelników tłumem.

Zadzzwonił. Niemeczka bardzo zreczna i ładna. z obrzydliwemi rękami. uśmiechając się otworzyła mu drzwi. popatrzała nań. i jakby już wiedziała o co idzie—szepnęła:

-- Baron Rochus?

Zdzisław skłonił głowę potakująco i szedł już za wiodącą go, gdy w pośród w przedpokoju skrzyżował się z młodą kobietą. podniósł oczy i stanął nieco zdumiony. Była bardzo piękna. a co rzadsza, piękność jej uderzała oryginalnością. Nie była podobna do tysiąca innych. co się pięknościom często bardzo zdarza.

Słusznego wzrostu. wyprostowana bardzo. poważna choć jeszcze młodzieńcza. szła nieco mierzonym krokiem zamysłona.. Czarne włosy bujne, na pół rozpuszczone. spływały na białe ramiona. Twarzyczka nadzwyczaj drobna. rysy miała ostro oznaczone i regularne. jakby zadbane i ochmurzone... Ogromne stosunkowo czarne oczy, przy tej miniaturowej twarzy. wydawały się dziwne. jakby cudze, jak zapoży-

czone. Osadzone były głęboko, otoczone cieniem, a nad niemi czarne brwi delikatnie zakreślone, ściągnięte ku środkowi nadawały im jeszcze dobitniejszy wyraz głębokiego zatopienia się w myślach... Maleńki nosek najłżejsze tchnienie poruszało... Pod nim stała zacięta, wązkie, zdawały się że małe, lecz wszystko to razem czyniło ją podobną do wizerunku tego Beatrixy Cenci, którego tyle złych kopij chodzi po świecie...

Ubrana była czarno i bardzo skromnie, w rękę niosła książkę — odwróciła się nieco ku Zdzisławowi, który ją zdala pozdrowił, powiodła za nim oczyma i znikła.

Słuszca z uśmiechem stała przy otwartych już drzwiach pokoju pana Rocha, dając do zrozumienia, iż postrzegła, z jakim zajęciem młodzieniec przyglądał się pięknej pannie. Złośliwie i szydersko zmierzyła go oczyma figlarnemi. Roch już siedł naprzeciw Zdzisława.

— Otóż to mi przykładowa regularność, zawołał podając rękę: tylko co wybiła jedenasta, ojciec mój czeka, a że lubi, by się trzymano oznaczonego czasu, nacieszy go pańskie przybycie...

— To możebyśmy poszli zaraz? spytał Zdzisław...

— Chętnie, służę wam—rzekł Roch...

Obok były drzwi do saloniku...

W pośrodku jego stał pan Kajetan Puciata, mężczyzna dosyć słusznego wzrostu, ze śpiczastą głową, okrytą siwym krótko postrzyżonym włosiem, z twarzą wygoloną, z chustką białą na szyi obyczajem dawnym przywiązaną, typ starego pedagoga, w którym się jeszcze starszy żołnierz przebijał. Miał na sobie szara-

czkowy jasny surdut, w którego dziurce różnobarwne mieściły się wstążeczki; długa biała chustka, którą trzymał w ręku, wlokła się po ziemi...

Twarz urzędownie wypogodzona miała wyraz miły, ale z niej na pierwszy rzut oka można było wyczytać człowieka, który i silną miał wolę, i nie małe o sobie pojęcie... Nawyknienie strzeżenia powagi swej, nadawało coś uroczystego tej postaci.

— Syn mój już mi zwiastował miłą nowinę, iż pana hrabiego będę miał szczęście u siebie dziś oglądać i wiadomość odebrać. a dowód pamięci od kochanego kapitana?

Słowa te wyrzekł podając rękę ceremonialnie Zdzisławowi Puciata. Odebrał list i nie czytając go wskazał krzesło.

Prawdziwe to szczęście dla mnie, które za dobrą wróżbę uważam, że wczoraj spotkał pana Rocha i mógł się tak rychło dowiedzieć...

— Siadaj pan dobrodziej — dodał stary dobywając okularów i odchodząc ku oknu. ja muszę list przeczytać...

Zdzisław miał czas nieco się rozpatrzeć w saloniku...

Był trochę krzykliwie, ale pięknie przybrany... Znać było człowieka w nim co się lęka, aby go za lada pierwszego z brzegu nie wzięto... Meble były wytworne, przy drzwiach portyery szyte, a na nich dojrzał Zdzisław nieco zdumiony herb Puciatów z mitrą książęcą... Dwa portrety jakby przez Grassiego malowane, owalne, wystawiały pięknego mężczyznę w kontuszu i delii sobolowej i piękniejszą jeszcze kobietę w upudrowanej fryzurze perłami przepinanej... Twarz

jej przypominała nieco oczyma czarnemi spotkaną u wujścia panienkę. Domyslił się Zdzisław, że to być musiała chyba córka profesora.

Po chwili z osłupniała nieco twarzą, krokiem wolnym, pan Puciata trzymając list w ręku począł iść ku Zdzisławowi, i usiadł przy nim dłoń kładnąc na jego kolanach..

— Kapitan mi pisze o srogiem nieszczęściu, jakie was spotkało, panie hrabio... począł z cicha... podnosząc głos coraz... Ludzkie to losy... padają jedni podnoszą się drudzy... Wielkie rody nie są z ogólnego wyjęte prawa... Na nas wilzisz też, hrabio, naprzykład podobnego igrzyska losu.. Niegdyś kniaziowski ród... niegdyś potężna familia, dziś ex-profesor i resztki fortunny i...

Westchnął pan Puciata...

— Ale—dość o tem... proszę was dom mój za familijny uważać, a mego pana Rocha za brata... Jeśli rada służyć mogę... i czemkolwiekbądź. .

— Nieskończone dzięki... odezwał się Zdzis — nie nawykłem do osamotnienia. a znalazłem się tu tak samotnym! Wielkie to szczęście dla mnie móż zachować na światłą radę Jego..

— Ale cóż myślisz? co myśliż? począł profesor... pytałem pana Rocha, nie umiał mi nic stanowczego powiedzieć

— Ja sam jeszcze nie postanowiłem nic — odezwał się Zdzisław. Z listu kapitana mogłeś się pan dobrodziej dowiedzieć, że nagle utraciłem wszystko. Chociaż przyszłość być winien samemu sobie. Ku czemu się zwrócić?

Puciata ręką począł gładzić ogoloną brodę.

— Hm. rzekł, zbyt się nie trzeba śpieszyć, a siebie zbadać... Co do mnie, gdybym miał być do rady wezwany. naturalnie jako matematyk. nicbym innego nie radził nad mathesis... Ona prowadzi do wszystkiego, bez niej nie ma filozofii, bez niej nauki przyrodzone kroku nie stępują, bez niej umysł się nie rozwinie. Żołnierzowi niezbędna, mechanikowi konieczna, technikowi potrzebna...

Profesor puścił się tak zwolna coraz głośniejsz deklamując. gdy oczy jego zwrócone po profesorsku na drzwi postrzegły. że w nich stała postać w czarnej sukni z książką w ręku... i słuchać go się zdawała...

Skutek był taki. że nagle profesor zatrzymał się mówiąc i — zamilkł ..

Panna. którą już Zdzisław widział w przedpokoju. nie wiedziała czy ma wniknąć. czy się cofnąć. profesor też snadź się namyslał, czy ją poprosić i młodych ludzi z sobą zapoznać. czy to odłożyć do innej sposobności. Najprostszem zdało mu się powołać pannę i skinął.

— Córką moją Herminia... rzekł: pan hrabia Samoborski...

Panna zlekka skłoniła piękną główkę i przysiadła na kanapie.

Rozmowa była przerwana. profesor zbił się z tropu. nie wiedział od czego na nowo zacząć apologię matematyki...

— Ale to tam o tem potem — dokonczył. dziś panu muszę na wstępie oświadczyć że co czwartek jesteśmy w domu wieczorem. Kto łaskaw. czyni nam największą przyjemność... Rachuj na hrabiego... Kilku kolegów pana Rocha. czasem jaka znajoma panny

Herminii, profesor jaki... herbatka bez ceremonii. .  
Roch i Herminia lubią muzykę...

— A pan hrabia? spytała głosem bardzo miłym siedząca na kanapie.

— Gdybym mógł prosić o wyrzucenie tytułu... rzekł Zdzisław.

Profesor głową i rękami zaprotestował...

— Dla czego?

— Ja także lubię bardzo muzykę...

— Ne quid nimis, dodał profesor — miła rzecz. ale dodatkowo... Ja ją też lubię, pan Roch nadto...

Panna Herminia zaprotestowała.

— Kochany ojcze...

— Nadto potwierdził profesor... artysta nie będzie.

— A gdyby? spytał Roch...

— Puciata artystą! zawołał profesor... nigdy... Wasz ten oryginał Majak, choć to plebejusz, ma słuszość: to cygaństwo. Dzieci pospuszczały oczy i zamilkły, jakby ojca drażnić nie chciały.

Rozmowa zwróciła się na inny jakiś przedmiot i profesor ożywił. Pomimo powagi, którą umiał utrzymać zawsze, dowcipny był po swojemu, wesół i miły. Nie opuszczał go ton profesorski, lecz dobroć się w nim przebijała. Po chwili Zdzisław wstał, aby go pożegnać; Puciata powtórzył zaproszenie i przeprowadził go ku drzwiom, panna Herminia skłoniła się z daleka, poszli z Rochem do jego pokoiku...

Tu było po akademicku, nieco porozrzucano

i czuć artystę... Nut więcej niż książek; na stoliku jakas partytura. w kącie skrzypce w futerale...

— Z ojcem nie ma sposobu—rzekł śmiejąc się Roch po cichu. gdy weszli sami do jego mieszkania: sprzeciwiać mu się nie będę... ale muzyką jedną żyję i bez niejby dla mnie życie smaku nie miało... Na matematykę mam dosyć czasu: trzeba wolę jego spełnić. aby mu troski nie przyczyniać... Minia i ja obojeśmy zapaleni do muzyki... Jej ojciec nie broni, a ja pod płaszczem siostry się przekradam...

Roch zacierał włosy i śmiał się.

Zapalili cygara, pogawędzili chwilę jeszcze, Zdziś poczał się wybierać.

— Nie zapominajcie o czwartkach, dodał żegnając się Roszek — nie pochlebiam sobie bardzo. ale mi się zdaje, że znajdziecie w naszym towarzystwie trochę przyjemności... Nie zapomnijcie tylko o fraku. bo ojciec jest do form zbyt przywiązany i sam go do gości kładzie.

Rozśmiał się ruszając ramionami. Tak się rozstali. a Zdziś zbiegł ze wschodów, chąc się jeszcze tego dnia o Żabickiego dowiedzieć w gospodzie... Nie potrzebował iść tak daleko. bo go w ulicy spotkał i rzucił mu się w objęcia. Dawny nauczyciel powitał go z równem uczuciem, choć z większą powściągliwością...

— Dawno?

— Od wczoraj wieczora!

— Teraz oddycham lżej... zawołał Zdzisław — przyznam się wam. brakło mi was... waszego serca i opieki... Napróżnom w siebie starał się wlać męztwo...

— A ja, kochany panie Zdzisławie — odezwał się Żabicki, spóźniłem się umyślnie. Co na to powiecie? że nie mam serca? że jestem niewdzięczny? Chciałem, ażebyście trochę spróbowali iść o własnej sile...

Zdzisław się zarumienił.

— Dobrze to, rzekł, ale pozwólcie mi zawsze na waszą przyjaźń rachować. Nie łudzę się — potrzebuje jej. Siłę będę się starał wyrobić...

— Chcesz stać ze mną? zapytał zawahawszy się...

— Stanowczo, nie — odparł Żabicki — potrzeba byście byli sami, a ja się zawsze znajdę w odwodzie, gdy będę potrzebny...

I silnie, serdecznie ścisnął dłoń wychowanka...

Rozmowa nie miała końca, o tylu a tylu rzeczach z przeszłości i teraźniejszości potrzeba było nagać się i naradzić. Żabicki przybył z postanowieniem chodzenia na medycynę; zdziwił się niezmiernie, gdy Zdzisł pod wpływem wczorajszego wieczoru i dzisiejszego ranku oświadczył mu, że — *salve melioratione*. myśli zostać matematykiem...

Żabicki mocno potrząsł głową.

— Nie zdaje mi się, byście do tego mieli usposobienie — rzekł po cichu — ale...

— Muszę je wyrobić w sobie...

Zdzisław prowadził przyjaciela, aby mu swe mieszkanie pokazać, i byli najżywszą zajęci rozmową, gdy szybko przejeżdżający powóz zwrócił ich oczy i Zdzisł stanął jak osłupiały...

Niepodobna się było omylić — mignęli mu przed oczyma: Elsa, Mangold i straszna kuzynka wyfiokowana przerażająco. W myśli swej szukał ich po Włoszech hrabia — zdziwił się niezmiernie... Żabicki



się złośliwie uśmiechał, spojrzawszy na zmienioną twarz jego...

— Mangóldowie — rzekł — to nie ulega wątpliwości. Wiem o tem, że się zatrzymali tu podobno na czas dłuższy. Baron, który miał objeżdżać Włochy, wstrzymany został jakimś interesem finansowym, bo finanse są podobno jego tajemną słabostką, pozostała z przeszłości...

Ale, kochany hrabio — jeśli piękna twarzyczka Elsy czyni na was wrażenie, trzeba się z niego otrząść, należy je zwyciężyć... Łudzić się nie powinniście...

Zdziś zarumieniony zarzekł się i wyprzysiągł wrażenia, wszelkich nadziei i marzeń; jednakże powiódł oczyma za powozem i postanowił nieodmiennie wysledzić, choćby przez policję, schronienie bóstwa swojego...

Żabicki prędko zwrócił rozmowę na coś poważniejszego, poszli oglądać mieszkanie Zdzisława, które nauczyciel dawny znalazł nietylko bardzo przyzwoitem, ale nawet wspaniałem.

— Co do mnie, rzekł, ja małą ciupkę biore, którąby w zimie łatwo ogrzać było... Stolik, łóżko, półka na książki, cztery kroki wzdłuż... dosyć mi będzie...

Zdziwił się niezmiernie Zdzisław posłyszawszy to, bo mu się zdawało, że już skromniej niż on urządzić się nie było podobna. Żabicki choć zaledwie kilka godzin był w mieście, już się w niem swobodniej od niego obracał, wiedział prawie wszystko i niczem się nie kłopotał.

Jeszcze byli u Zdzisława, gdy pan Alfons nadzedł, poznali się więc z Żabickim, ale ten korzysta-

jąc z tego, że miał dawnego ucznia z kim zostawić, pożegnał się i wyszedł zaraz.

Zdawało się to bardzo na rękę panu Alfonsowi, który rumieniąc się zapytał żywo:

— Byliście u Puciaty?

— Wracam ztamtąd...

— I — dodał krasniejąc jeszcze bardziej przybyły — i — widzieliście... Ją...

Zdzis się bardzo zdumiał, spojrział i rozsmiał — to — Ją, wymienione było takim głosem, z takim wyrazem!!

Z domu Puciatów pan Alfons, który tam już był parę razy, wyniósł tylko pewnie wspomnienie — Jej...

— Widziałem, odezwał się Zdzisław dosyć chłodno.

Nieśmiało zwykle chłopię załamało ręce i spytało ognićcie:

— Mówicie to tak zimno! widzieliście tę cudowną piękność i — nie uczyniła na was wrażenia!!

— Jest wcale piękna — odparł heroicznie Zdzis, ale ja — ja muszę mieć oczy i serce zamknięte, dopóki nie odzyszczę stanowiska. To moje marzenie, to mój cel, to myśl jedyna...

Gość zarumienił się znowu i padł na krzesło wdychając.

— Wy macie dosyć mocy charakteru — rzekł — a ja... jużem się na pierwsze wejrzenie zakochał w niej śmiertelnie... bo ja... z sercem próżnem żyć nie mogę.

Zdziś zachował milczenie, nie chciał się przyznać, że i on na tę samą cierpiał chorobę.

— Na cóżby się młodosć zdała, mówił osmielając się Alfons, gdyby się kochać nie było wolno?... A! bozka Herminia! uważaliście jej oczy? Co za wdzięk? jaka siła wejrzenia! Jestem na wieki jej niewolnikiem.

— Nie sądź, kochany przyjacielu. zawsze grając rolę energicznego zwycięzcy samego siebie, odparł Zdzis — ażeby ja miał serce zimne i nieprzystępne temu uczuciu — kochałem się już i kocham jeszcze. Wyznam wam nawet, że spotkałem tu dzisiaj, tę, którą... tę, która...

— Tu w Berlinie?

— Przypadkiem, w ulicy... Są zapewne w przejeździe. kończył hrabia — jednak. nie będę się nawet starał jej widzieć!

Przeszedł się posępny po pokoju — Alfons spoglądał nań z podziwieniem...

— Admiruję was — rzekł cicho — co do mnie. uznaję się słabym, zwyciężonym, opierać się nie myślę... poddaję przeznaczeniu! Byłem tylko tego ideału wzajemność pozyskał.

Zadumał się trochę, wstał i pocałował razem ze Zdzisławem się przechadzać. Nigdy go jeszcze Zdzis nie widział tak ożywionym i otwartym... niemal rozgorączkowanym... Znac w nim było coraz bardziej dziecię pieszczone, które jeszcze żadnego w życiu nie doznało zawodu...

Razem niemal poczęli się sobie zwierzać po cichu... Tak dobrze wzajem się rozumieli. tak coraz bardziej sobie byli potrzebni...

— Al ty jesteś stoikiem — zawołał Alfons — ty masz moc charakteru... a ja...

Zdziś począł mu dla podwyższenia swej ofiary. opisywać dziewiczy wdzięk Elsy... malując ją barwy tak żywymi, że sam mocno się poruszył. Nie chciał się chwalić, ale miał to przekonanie, że Elsa miała dlań najczulsze przywiązanie. Pokazał w pudełeczku leżący pączek różany...

Alfons mu zazdrościł...

— Wprawdzie nie jest to moja najpierwsza miłość, rzekł cicho — trochę byłem zajęty guwernantką z sąsiedztwa... starszą odemnie... która miała wiele wdzięku... ale tego uczucia co dla Herminii... nie doznałem nigdy... Gdy na nią patrzę, dreszcze przebiegają po moim ciele, słabo mi się robi...

— Ja się powinienem i muszę zwyciężyć — dodał Zdziś — mam najmocniejsze postanowienie...

Pomimo postanowienia wszakże zaczęli mówić oboje, jeden o Elsie, drugi o Herminii, i niemal godzinę całą strawili na marzeniach rozkosznych, nie czując najmniejszej sumienia zgryzoty. Zdziś tylko co kwadrans powracał do założenia: Powinienem się zwyciężyć...

Pod wieczór Alfons namówił go do siebie... tam wygodniej i swobodniej mogli sobie rozpowiadać dzieje młodości i przyszłości nadzieje. Rosły przyjaźń i zaufanie wzajemne z każdą godziną. Alfons okazywał serce czułe i zjednywał sobie towarzysza, zwierzając mu się z uczuć swych wszystkich. Zeszli nawet nieznacznie na rozmowę o stosunkach domowych, ale o tych, mimo serdeczności, jaką okazywał Zdziś, mało mógł się dowiedzieć. Wspominał często matkę, a milczał jakoś o ojcu, chociaż wymówił się z tem, że nie był po nim sierotą. Alfons spodzie-

wał się przybycia swej matki i mówił o niej z wielkim zapalem... Cały wieczór, zapomniawszy o świecie, na najmielszej spędzili rozmowie, puszczając się nieznacznie w ten kraj marzeń, do którego młodość tak ułatywać lubi.

Alfons co najrychlej pragnął ukończyć nauki, ożenić się, ale koniecznie z Herminią. i osiąść na wsi...

Zdziś nauką i pracą spodziewał się świetne odzyskać położenie. Ani wątpić, że przełamanie przeszkody i że dając się poznać światu, wdzięcznie przezeń będzie przyjęty.

Przykłady podobnych zawodów zdobytych przez daleko mniej wyposażonych od natury ludzi, nie pozwalały wątpić, iż wszystko pójdzie z jak największą łatwością. O późnej godzinie zaszedł Roszek do Alfonsa, którego jako brata uwielbionej przyjmował nadzwyczaj serdecznie... Grano na fortepianie, śpiewano, śmiano się, i trochę upojony wyszedł Zdziś około północy do domu.

Noc była, jak zwykle po takim rozmarzeniu, dalszym snów na jawie ciągiem. Zdzisławowi przyśniła się matka, widział ją błogosławiącą mu ze łzami... taką jaką była w dniu jego urodzin, w popielatej sukni, ze szmaragdami we włosach... Pod wrażeniem snu uczuł się nazajutrz rozrzuwionym, usposobionym do modlitwy i postanowił pójść do kościoła na mszę ranną, aby się za duszę matki pomodlić. Nikt mu nie przeszkodził w domu, nikt go nie nadszedł, i uporządkowawszy swe mieszkanie, Zdziś po dziesiątej pobiegł do kościoła świętej Jadwigi.

Już się msza kończyła, której wysłuchał pobożnie, gdy odwracając się postrzegł pannę Helę z Elszą, właśnie mające wychodzić z kościoła. Los go szczęśliwy widocznie umyślnie tu przysłał, aby mógł ją spotkać... Uważał to za przeznaczenie. Szybko więc powstał i pospieszył za odchodzącymi paniami, które zdawały się uchodzić postrzegłszy go, nie dając poznać, iż widziały. Tego jednak Zdziś ani przypuszczał. W samych drzwiach kościelnych przywitał kuzynkę, która mu kwaśnem dosyć skinieniem głowy odpowiedziała, i zbliżył się do Elsy, równie posępnej i milczącej. Obawiał się, czy nie mają powozu, któryby je porwał i uwiózł, nimby miał czas się zbliżyć i rozpytać lecz panie szczęściem przybyły pieszo.

Usiłował więc zawiązać rozmowę, wyrażając radość z tak szczęśliwego trafu, pozwalającego mu jeszcze widzieć dawnych sąsiadów...

Elsa kiedy niekiedy rzucała nań oczyma, których wejrzenie jakby zdziwione i roztargnione, tak go przenikało; kuzynka Hela nie kryła wcale jakiegos kaprysu, patrzyła w inną stronę, i widocznie pozbyć się chciała jak najprędzej natręta.

Parę słów po francuzku szepnęła Elsie i poczęły iść coraz prędzej, Zdziś nie opuszczał ich na krok.

— Panie mi pozwól towarzyszyć sobie? rzekł do kuzynki: gdyż pragnąłbym złożyć moje uszanowanie baronowi.

— Wątpię, by go pan hrabia w domu zastał — przebaknęła Hela.

— W takim razie przyjdę innym razem.

— My nawet nie powracamy do domu, mamy sprawunki — dodała kwaśno stara panna.

— Będę paniom służył choćby do niesienia ich — rzekł grzecznie Zdzisław...

Obrał był sobie miejsce obok Elsy do pochodu tego, lecz panna Hela przy pierwszym ciasniejszym przejściu zręcznie się wsunęła pod bok Zdzisławowi i Else zostawiła za sobą. Wszystko to dosyć było wyraźne, a jednak biedny chłopak nie chciał tego zrozumieć.

Panna Hela patrzała w ziemię, szła milcząca, mało mu odpowiadała. pomrukiwała coś do Elsy cicho, na ostatek, jakby z wysiłkiem jakimś zaczęła iść szybko ku Lipom...

Zdzisław bawił rozmową o Berlinie.

— Słyszałem, że państwo się tu myślą zatrzymać — odezwał się w końcu.

— Baron życzył sobie zrazu... zostać nieco dłużej, ale sądzę, że zmieni postanowienie i podróż do Włoch przyspieszy... odpowiedziała Hela.

— Panna baronówna pewnie niecierpliwa jest i pragnęłaby prędzej ten piękny kraj zobaczyć — odezwał się Zdzisław obracając się ku niej.

Elsa zdumione oczki podniosła, ruszyła ramionami, nie odpowiedziała nic.

— Ja także miałem dawniej nadzieję odbyć wycieczkę do Włoch i Szwajcaryi, ale teraz... wątpię bardzo. mówił Zdzisław...

Nie odpowiedziano mu nic, Hela coraz przyspieszała kroku, doszli tak do hotelu rzymskiego i dostali się milcząc prawie na pierwsze piętro... Panie wbiegły do salonu, w którym nie było nikogo,

i natychmiast znikły w drugim pokoju, który zamknęły za sobą, Zdzisia zostawując samego. Żywą jakąś rozmowę słychać było obok. Zdzisław poznał głos barona — jakoż pan Mangold wyszedł wkrótce. blady, nie swój, zakłopotany mocno. Widać było na pierwsze wejście, że coś miał na ustach z czem szedł i co rad był jak najprędzej wypowiedzieć. Mruczając przywitał się pospiesznie...

— A pań hrabia tu! rzekł... no — proszę...

— Przybyłem do uniwersytetu...

— My jesteśmy tylko przejazdem. począł baron żywo i jakając się: tylko przejazdem. Mieliliśmy zabawić, ale jutro już w drogę, tak — jutro...

Zdzisław przerwał.

— Bardzom więc rad, że mogę dziś państwa pożegnać przy najmniej.

— Tak — pożegnać — pożegnać! dobitnie wymówił Mangold... i ja pana hrabiego żegnam... żegnam. Jestem bardzo zajęty, mam interesa pilne...

To mówiąc naciskał go ku drzwiom niecierpliwie i prawie niegrzecznie.

— Czy będę mógł widzieć panie? zapytał Zdzisław...

— Wyszły już... tak — na miasto... bardzo przepraszam... Do nóg upadam...

Ten pospiech barona, który się w końcu stał widocznie impertynenckim, poczynił oburzać Zdzisławą... Niemal pierwszy raz w życiu był zmuszony ncznąć gniew i zażądać jakiegos dlań zadośćuczynienia. Oczy mu się otwarły nareszcie. Spojrzał śmiało w twarz Mangoldowi, który się zmieszał i stanął.



— W istocie pan baron bardzo być musi zajęty interesami, gdy tak mało raczy mieć względn dla dawnego sąsiada... rzekł Zdziś powoli. Widzę, że dawne stosunki łatwo się zapominają...

— Jakie? jakie stosunki? podchwycił gorąco Mangold. — Żadnych, żadnych właściwie stosunków nie było, oprócz... prostej grzeczności...

— O tej właśnie mówię — odezwał się Zdziś, kładnąc powoli rękawiczkę.

— Hrabia mi daruje — ja jestem człowiek od interesów... mam wiele na głowie...

To mówiąc skłonił się zmieszany... Zdzisław nie podając mu ręki, oddał ukłon z daleka i wyszedł krokiem bardzo powolnym. Ta druga próba dowiodła mu ostatecznie, że na Elbę i barona wcale liczyć nie mógł. Ścisnęło mu się serce...

Każdy inny byłby na pierwszej poprzestał, bo i ta dosyć już była wyraźną odprawą — ale tak mu żal było rozstać się z marzeniem o pięknej Elsie, którem żył za dni szczęśliwszych!! Leniwym krokiem jak wygnany z rajn zwał się w ulicę bez myśli, nie widząc nic przed sobą. Cierpiał okrutnie, a poskarżyć się nie mógł nawet przed nikim, bo przyznawać się nie chciał do widzenia Elsy i do jakichś nadziei.

Żabicki, który go w kilka godzin później znalazł siedzącego z głową na rękach opartą w domu, poznał zaraz, iż coś nowego dotknąć musiało pieszczonego wychowanica, ale go umyślnie nie pytał... On już sam urządził się był zupełnie, zapisał, i od następnego dnia kursa rozpoczynał. Na zapytanie co Zdziś robi? — otrzymał odpowiedź, iż nie postanowił nic jeszcze, że potrzebuje do namysłu czasu... Natomiast z serca

goryczą przepelnionego począł młody hrabia rozwijać teorye swe katońsko pojętej. surowo obmyślanej przyszłości.

— Kochany hrabio — przerwał Żabicki — wszystko to dobrze — ale — do czynu! do czynu!

— Dziś, jutro się zapiszę... niechybnie. rzekł Zdzis — tylko się rozpatrzeć muszę.

Dwa czy trzy dni upłynęły na rozpatrywaniu. to jest na rozmowach z Alfonsem, z którym po całych dniach byli razem. Nadszedł pierwszy czwartek. którego opuścić nie mógł przyjaciel i pociągnął z sobą Zdzisława do Puciatów... Młodzież nadzwyczaj uprzejmie tu przyjęto, chociaż hrabia mógł dostrzedz. że stary profesor mniej był dla pana Alfonsa serdeczny i trzymał go w pewnem oddaleniu ceremonialnie się z nim obchodząc, z odpychającą, wyszukaną grzecznością. Ponieważ oprócz jednej podżytej pani milczącej, która z pończochą siedziała na kanapie, nikogo więcej nie było. młodzież bawiła się muzyką i rozmową. Roszek grał z siostrą na cztery ręce na fortepianie, potem przeszedł do skrzypiec i wykonał z nią duet, na ostatek proszono śpiewać panny Herminii, a to dobiło pana Alfonsa. Nie słyszał jej jeszcze śpiewającej. głos miała srebrzysty, płynący, miły i chwytający za serce... Nie tętniło w nim jeszcze uczucie. Spokój jakiś czuć było, ale i słodycz dziwną i rozmarzającą...

Alfons stał naprzeciw niej w zachwyceniu. Profesor kilka razy ku niemu rzucił okiem i namarszczył się nieco... Zdziś to dostrzegł, zachowując przy sobie. aby nie martwić przyjaciela. Gdy po herbacie wyszli. Alfons w ulicy uściskał go z uniesieniem...

— Zdzisiu drogi... szaleje... Słyszałeś jej głos...

aniół tylko tak śpiewać mogą w niebiesiech... to nie jest głos ziemski, to nie głos kobiety, to coś nadludzkiego!! Trzy razy spojrzała na mnie temi czarnemi oczyma. przez które wieczność się patrzeć zdaje... wejście moje wypowiedziało jej uwielbienie! niepodobieństwem jest. ażeby mnie nie zrozumiała!!

Wśród takich szalów poszli razem... Zdzisławowi było smutno — może zazdrościł... ale się do swoich przygód serdecznych nie przyznał wcale. Następnego dnia musiał słuchać zwierzeń znowu i spędzić go z przyjacielem. Żabicki już się teraz mało pokazywał — i zdawał się ucznia unikać. zostawując go samemu sobie...

Zdziś prawił ciągle o przyszłości, ale nic nie robił dla niej, a dni płynęły nieublagane jeden za drugim. On i Alfons mówili sobie. że mają jeszcze dosyć czasu.



Tak rozpoczęły się te studia uniwersyteckie młodzieńca wielkich nadziei. Wprawdzie kilka razy zapytywany przez Żabickiego, zawstydził się w końcu zwłoki i wpisał się na wydział matematyczny hrabia, zaczął nawet uczęszczać na wykłady — lecz, choć nikomu, oprócz serdecznego przyjaciela nie mówił o tem, — nabierał codziennie przekonania. iż matematyka nie dla niego była stworzona, ani on dla niej.

Do tego zobojętnienia dla nauki, przyczyniały się wielce coraz ściślejsze stosunki z Alfonsem Robertem, który uczęszczał na uniwersytet więcej dla rozrywki i formy, niż dla rzeczywistego pożytku. Wieczory najczęściej spędzali razem, w towarzystwie Roszka,

czasem Majaka, lub innych zaproszonych i nieproszonych kolegów. Przyjęcia u Alfonsa były pańskie. swoboda zupełna, czas schodził bardzo mile... Gdy muzyka, rozmowa, i plotki nie starczyły na zabicie czasu. grywać zaczęto w karty. Zdziś z początku patrzył tylko... nie miał ani usposobienia do gry, ani pieniędzy na nią.

Po jakimś czasie wszakże patrząc na towarzyszków z grą się oswoił; Alfons, który musiał od niej wstawać często, sadzał go na swoim miejscu. Okazało się, że Zdziś miał talent, o którym nie wiedział: grał doskonale i szczęśliwie...

Nabrał do tego smaku... rozrywka była niewinna, a prawie zawsze opłacało się to jeszcze wygraną.

Z Żabickim widywali się coraz rzadziej; zapraszał go Robert, ale medyk nigdy czasu nie miał, dziękował i nie przychodził.

Tak upłynęło parę miesięcy. Dawny nauczyciel zdawał się zdala śledzić ucznia postępowanie, i jednego rana wszedł do niego tak wcześnie, że go jeszcze w łóżku zastał. Dnia poprzedzającego grali u Alfonsa do późna, hrabia powrócił dobrze po północy i potrzebował dłuższego spoczynku.

— Jakto! w łóżku jeszcze? zawołał Żabicki.

— Trochę głowa mnie boli — rzekł spiesźnie zrywając się Zdziś; siadaj, zaraz się napijemy herbaty.

— Dziękuję wam za nią, czasu nie mam, spieszę na anatomię. Chwilkę tylko umyślnie sobie zachowałem, aby pomówić z wami...

Głos przybrał poważny.

— Kochany panie Zdzisławie, nie pogniewajcie się na mnie. Nie mam innego prawa nad moją miłość ku wam... a muszę przykrą wam rzecz powiedzieć.

— Cóż takiego?

— Darujcie mi: na złej drodze jesteście...

Zdżis się zarumienił

— Cóż to ma znaczyć? zawołał.

— Ten Alfons i przyjaźń jego was gubi... Chciejcie mnie wysłuchać i zrozumieć... Pragnęliście nanki, czujecie potrzebę zgotowania sobie przyszłości, odzyskania stanowiska... a to życie, jakie prowadzicie... marnuje czas i źle na was wpływa...

Młody hrabia zalał się rumieńcem.

— Bardzo umiem cenić waszą dla mnie życzliwość — rzekł — ale pozwólcie mi sobie odpowiedzieć, że bez towarzystwa żyć nie mogłem, a w złym towarzystwie bym nie wytrzymał. Alfons jest co się zowie dobrze wychowanym człowiekiem... jest moim przyjacielem... Do odzyskania stanowiska, jeśli co, to stosunki potrzebne... Wszakże pracuję?

— Uderzcie się w piersi! co to jest za praca? — zawołał Żabicki... Jesteście wolni, możecie uczynić co chcecie; z innymi jednak i lepszymi postanowieniami tuście przybyli...

— Nie zmieniło się w nich nic a nic! zawołał Zdżis

— Tak sądzicie? zapytał Żabicki uśmiechając się... Jeśli sumienie własne nic wam nie mówi, cóż moje słowa warte?? Przepraszam — dodał — niepotrzebnie się wyrwałem...

Zdzisław choć trochę rozdrażniony, żywo podał

mu rękę, zebełkotał coś niewyraźnie. chciał się tłómaczyć..

— Mogę nie mieć słuszności — dokończył Żabicki biorąc za kapelusz, — ale towarzystwo pana Alfonsa nie zdaje mi się... dobrem. Chłopak miły, ale próżniak... Nie znam jego położenia, zdaje się być majętny... rozpieszczony i zepsuty. Towarzystwo u niego zbiera się nie najlepsze...

Zdziś gorąco zaczął bronić i wychwalać przyjaciela; Żabicki umilkł wprędce, spojrział na zegarek i pożegnał..

Po wyjściu jego jakiś czas hrabia chodził zamyślony po pokoju, zdawał się nierad sam z siebie.

Na dziesiątą wypadł odczyt jakiś, od którego się uwolnił. „Jednym mniej lub więcej, nic nie znaczy!“ wytłómaczył się sam przed sobą.

Czas był bardzo brzydki. Alfons mu wczoraj pozyczył nowego romansu Dumas, siadł go czytać i zatopił się w nim cały. Biła dwunasta, gdy na wschodach dały się słyszeć kroki, po których poznał Zdziś przyjaciela. W istocie wpadł Alfons i rzucił mu się na szyję śmiejąc i śpiewając...

— Jestem najszczęśliwszy z ludzi! zawołał...

— Cóż Herminia?

— A! nie! nie! odebrałem wiadomość, matka moja przybywa dziś. Zdrowie jej wymagało porady lekarza, zabawi tu kilka miesięcy. Poznasz ją, to anioł! Dziś wieczorem jedzie, zna cię z listów moich, zapraszam na wieczór do niej...

I wnet zmieniając rozmowę dorzucił Alfons, iż koniecznie musi ją zapoznać z Puciatami — aby jego Herminię ukochała...

Ponieważ do wieczoru wiele miał jeszcze oblecieć kątów. aby matce najęte przygotować mieszkanie, pożegnał więc prędko Zdzisława, zamawiając go na wieczór do siebie. Apartament pani Robertowej przytykał do synowskiego. Szczęśliwie się tak udało, iż go znalazł wolnym, i choć drogo, mógł pochwycić dla matki.

Zdziś, który z opowiadań Alfonsa i z portretu znał matkę przyjaciela. ciekaw był ją poznać, ale nie małą też wagę przywiązywał do wystąpienia przed nią. Spodziewał się w niej znaleźć osobę wyższego przedświata i ukształcenia. i chciał okazać, że do tego należał koła. Odstąpił więc na ten dzień od systemu i ubrał się jak mógł najstaranniej i najsmakowniej. Zwierciadło zapewniło go, że był tak piękny, iż nawet obok Alfonsa mógł się takim wydawać. O godzinie ósmej wyszedł z domu. Rozmowa z Żabickim zatarła się tem wrażeniem późniejszym. Przybrawszy jak mógł najpoważniejszą i smętną postawę, najwłaściwszą do swej roli — Zdziś z bijącym sercem wsunął się do salonu.. Alfons przyjął go u drzwi.

— Dziś dla wszystkich nie ma mnie w domu. prócz ciebie... drogi przyjacielu.. chodź...

Gdy Zdzisław oczy podniósł. spodziewając się ujrzeć przed sobą poważną i niemłodą osobę, zdziwił się nadzwyczajnie, widząc jakby żywy ten piękny portret, który go zachwycił.

Pani Robertowa, która miała tak słusznego syna zdawała się być jego siostrą. tak zachowała całą świeżość młodości. Nadzwyczajna piękność, która Zdzisława na portrecie uderzyła. nie niegła najmniej-



szej zmianie: były to te same oczy wyzywające, te same kształty urocze, taż postać śmiała i zalotna i wejście ogniste. Ubrała czarno. ale w suknię. na której widać było mistrza paryzkiego, z całą wykwintnością elegantki. dla której wybór jest życia warunkiem. Pani Robertowa powitała uśmiechem białych ząbków przyjaciela swojego syna.

Wrażenie, jakie uczyniła na Zdzisławie. było szczególne. Nim przemówiła. prawie nim się poruszyła, poczuł w niej jakimś instynktem nie osobę z tego towarzystwa, do którego sądził że należeć była powinna. ale coś... wcale różnego... jakby doskonale odegrywającego przyjęto na siebie rolę.

— Jakżem ja rada poznać hrabiego! odezwała się p. Robertowa, wyciągając obie ręce ku niemu, białe. wypieszczone. ale trochę duże, chociaż ślicznych kształtów; pan był tak dobry dla mojego drogiego Alfa... Niechże mn z serca podziękuję...

Wyrazy te wymówione były głosem gardłowym. wdzięcznym. miłym, lecz niewymuszonym... Wszystkie ruchy pięknej pani widocznie były studyowane. Siadła zaraz, układając się jak do malowania. i wpatrzała się w Zdzisława, dając mu uważajem sposobność podziwiania swych wdzięków.

Była to w istocie jedna z tych piękności. których wiek nawet naruszyć nie śmie. Portret był może nieco smuklejszych kształtów. ale śliczne twarzy rysy zachowały się nietknięte... Widać też było, że ta, co je posiadała. nadzwyczajne o nich mieć musiała staranie. Nawykła do nwielbień i hołdów. nawet w tej chwili, gdy syn ją najmocniej znajdował, nie mogła się powstrzymać od pozowania na bóstwo...



Najmniej przystawała do niej powaga, na którą się siliła...

Niezmierna żywość i zuchwałe trzpiotowstwo. jakby mimowolnie dobywały się z pod przybranej maski.

Zdzisław począł się unosić nad swem szczęściem. nad drogą dlań przyjaźnią Alfonsa...

— A! bo wy dla siebie jesteście stworzeni... przerwała pani Robertowa. a nie ma szczęścia, jak znaleźć w życiu sympatyczną istotę!

Bądźże pan zawsze u nas jak w domu... a ze mną jak z krewną... jak...

Nie dokończyła, i w tej chwili zwróciła się weselej:

— Nie mam nikogo znajomego w Berlinie. będę się bardzo nudziła... Zapraszam hrabiego raz na zawsze o każdej dnia porze. . jak do własnego domu...

To mówiąc uśmiechała się, poprawiała rozpuszczone w pukle włosy. igrała białemi rączkami i świeciła pierścieniami, których paluszki były pełne, oka prawie nie spuszczać z hrabiego, który wejrzeń tych nie mógł wytrzymać, i unikać się starał... Czyniły go one niespokojnym...

Alfons tymczasem biegał dokoła stołu, i wesół zajmował się herbatą...

W chwilę potem toczyła się wesół rozmowa, jak między dawno i poufale znajomymi. Zdziś był zdziwiony mocno, dowiadując się, że matka Alfonsa wiedziała już o jego miłości dla Herminii i bawiła się nią, nie upatrując w niej żadnego niebezpieczeństwa dla syna.

Całując go w czoło, przesładowała Herminią i wywoływała rumieniec na lica uszczęśliwionego chłopaka.

— Mój poczciwy Alf nie ma dla mnie tajemnic, mówiła patrząc na Zdzisia, on wie, że ja młodość rozumiem.. Któż się nie kochał w młodości? mój Boże... Takem ciekawa wybrankę Alfa zobaczyć..

— Nie powstydzę się jej! szepnął syn po cichu.

Snadź z listów i dziennika, który jej posyłał, musiała też wiedzieć o losie i przygodach Zdzisława, napomknęła bowiem z ubolewaniem coś zdala o Elsie... oczyma badając hrabiego.

— Zapomnij pan o niej—odezwiała się wdzięcząc Miłość to nie mogła być bardzo silna... bo trwała krótko, bo to było dziecko... a zresztą... hrabia znajdziesz łatwo serce, co go ocenić potrafi...

To śmiałe potrącanie o przedmioty, których się zwykle przy pierwszej rozmowie nie tyka—było rażące i dziwne, Zdzisław czuł w tem jakąś niezwykłość, ale przypisał ją ekscentrycznemu charakterowi matki Alfonsa.

Przy końcu herbaty pani zapaliła cygaretkę, panom pozwolono wziąć cygara, rozmowa bardzo wesoła toczyła się dalej. Matka kazała coś zagrać Alfonsovi, a sama została ze Zdzisławem... Jeszcze raz podała mu białe ręce dziękując za syna, zbliżyła się do niego cicho radząc i rozpytujac o to, czy Alfons nie do zbytku zabijał się pracą? Był tak delikatny... Potem zaczęła się uskarżać na nerwy, dla których musiała tu przybyć i przedsięwziąć nudną kurację.

Powoli Zdzis uczuł się ożywionym jej dobrocią, ponęnością i wejrzeniem...

— Rachuję na hrabiego, rzekła w końcu — *vous serez mon hôte de tous les jours, n'est-ce pas? Nous serons des bons amis! Zobaczysz hrabio... że cię nie znudzę...*

Cały ten wieczór nadzwyczaj szybko upłynął; ani się opatrzył Zdzis, gdy bijąca dwunasta zmusiła go do pożegnania pani Robertowej... Był nią zachwycony.

W przedpokoju Alfons go ucałował.

— Widzisz — rzekł, żem chwaląc moją drogą, kochaną mamę, wcale nie przesadzał — *elle est adorable!*

Zdzisław z uniesieniem to powtórzył... Powracając do domu, miał czas rozważyć każdy wyraz, wejście, ruch tej dziwnej pani, która na nim niepokojące czyniła wrażenie. Podobnej istoty nie spotkał nigdy w życiu... Zkąd miała tę młodość wiekiustą? Było li to tylko złudzenie wieczoru, które dzień następny miał rozproszyc?

Porównywając panią Robertową do osób, które widywał w domu matki, widział ogromną różnicę obyczaju, sposobu postępowania, której cenić nie umiał. Były to pozornie formy najlepszego towarzystwa, a różne jakimś odcieniem od niego! Pani Robertowa mówiła śmiało o rzeczach, o których Zdzis nigdy z ust kobiet w towarzystwie mężkiem nie słyszał.

Sąd jej o stosunkach ludzi był napiętnowany niezwykłą wyrozumiałością, która się niemal obojętnością nazwać mogła. Śmiała się z kobiet i mężczyzn zakochanych i bawiła miłością syna... Przedmiot ten nazbyt często na usta jej powracał... Zagadkowość, która otaczała rodzinę i przeszłość przyjaciela, nietyl-

ko się poznaniem matki jego nie rozproszyła. lecz zwiększyła może jeszcze. Jedno tylko z rozmowy się potwierdzało, że być musieli ludźmi majątnymi, gdyż pani Robert'owa do pieniędzy nie przywiązywała żadnej wartości, a wymagała najwyszukańszych wygód i przyjemności życia...

Z temi myślami wrócił Zdzisław do domu, gdzie do nauki nie czas się już brać było. Następny dzień wyprosiła pani Robert'owa dla siebie, syna i hrabiego uwalniając od odczytów. a wzywając na obiad, na który Alfons też Roszka poprosił. Z niemniejszą niż wczoraj ciekawością i powtórnie łamiąc postanowienie co do stroju skromnego — ubrany bardzo wykwintnie, poszedł Zdzis na oznaczoną godzinę.

W saloniku zastał wczorajszą swą znajomość niemal świeższą i piękniejszą jeszcze niż wczora. Biały dzień wcale jej wdzięków nie ujął. W ubraniu zaszła ta zmiana, że suknię wzięła strojuiejszą, więcej wyściętą i pozwalającą admirować monumentalne białe ramiona. Lekka narzutka koronkowa tylko dla formy nieco je pokrywała...

Z poufałością dawnej dobrej znajomej podała rękę Zdzisławowi i posadziła go zaraz przy sobie. Roszek jeszcze był nie przyszedł.. Mówiono o Berlinie. Pani Robert'owa znajdowała, że kobiety w nim były nieładne i żadnej dystynkcyi nie miały, a mężczyznom zarzucała sztywność żołnierską.

— Prawda — dodała — że to wszystko ludzie są, co byli lub będą żołnierzami...

Roszka wchodzącego powitała też uprzejmie. i na chwilę nawet wdzięczyła się trochę do niego, ale gdy odszedł na stronę, szepnęła Zdzisławowi:

— Ale jakież brzydki! et si commun... jeśli siostra podobna...

Zdzisław się rozśmiał..

— Bardzo dobry chłopak—rzekł broniąc go...

— A nie przeczę... ale jakież niepiękny!...

Mężczyźnie wprawdzie wolno być nieładnym... ale do pewnego stopnia...

Dziwna poufałość i swoboda matki Alfonsa, ciągle zdumiewała Zdzisława, lecz się z nią powoli oswajał, rozbrajał go wdzięk wejrzenia, uśmiechu i całej postaci, której z tą rubasznością (gdyż ledwie ją nie tak nazwać się godziło) wcale było do twarzy. Szczegółne też względy okazywała dla przyjaciela syna, i choć dla Rocha była też bardzo grzeczna, pierwsze miejsce zostawiła hrabiemu.

Po obiedzie pan Roch grał na fortepianie, pani Robert'owa stanęła za jego krzesłem i poczęła znany motyw z opery śpiewać głośno i pięknie, co także Zdzisława zdziwiło niepomalu. Lecz głos, choć osłabły nieco, tak był przejmujący i wdzięczny, że popis z nim wydał się zupełnie usprawiedliwionym.

Nie był to salon hrabiny Julii w Samoborach; inaczej wyglądało to dobre i przyzwoite, ale o wiele swobodniejsze towarzystwo. Młodym ludziom było w niem i wesoło i miło—pani Robert'owa postępowała sobie z nimi nie czyniąc ceremonii. Dla Zdzisia była ona z tem wszystkiem rodzajem ponętnej zagadki.

Niewiele też potrzebował osamotniony sierota, nawykły do pieszczot, by się dać ująć i przyłgnąć sercem tam, gdzie mu cokolwiek uczucia i sympatyj okazywano. Z razu starał się być z wielkiem uszanowaniem dla pani Robert'owej lecz ta zdawała się chcieć

go z tego tonu i obejścia się zimnego wyprowadzić. stając jakby na równi. To było dlań miłsze jeszcze.

— Trochę śmiała, rzekł w duchu — ale znać, że ma serce, że szczerą jest i dobrą. . a jak kocha Alfonsa!

W istocie miłość dla syna pani Robert'owej była ślepa. namiętna. niemał dziecinna i wcale się nie rachująca z przyszłością. Szło jej o to tylko, aby jego wszelkim zachceniom zadość uczynić, aby fantazyje zaspokoić, choćby największą ofiarą... Ubóstwiała Alfonsa tak, jak niegdyś hrabina Julia Zdzisia. Ta tylko różnica była między niemi. że miłość nieboszczki była poważna i obleczone jakąś uroczystą szatą, a ta przechodziła w szal i bałwochwalstwo. .

Sto razy na dzień stawiała go naprzeciw siebie, całowała po rękach, choć je wyrywał i wołała głośno:

— Patrzajcie jaki on śliczny! Jestże na świecie kobieta, coby go kochać nie była zmuszona?...

Zdawało się nawet już zaślepionemu Zdzisławowi. że pani Robert'owa za uadto często, ba! prawie ciągle, mówiła przy synu o kobietach, o miłości, o serdecznych stosunkach. Myśl jej nie wychodziła z tego koła. krążyła w nim ciągle bez żadnego względu na to. że młode ucznia rozbudzała i uprawniała do zbytku... Pytania jej niekiedy w kłopot wprawiały Zdzisławą, a jego rumieniec śmiech w niej obudzał.

Po obiedzie nie puściła już całego towarzystwa od wieczorn i herbaty... Nadszedł Majak, którego przedstawiono także: zmierzyła go oczyma i przyjęła wcale dobrze. Jego burszowska mowa podobała się bardzo. Pan Sylwester chociaż się nieco powstrzymywał, nie zawsze umiał zmienić ton i sposób mówie

nia... Ku końcowi wieczoru jednak zbyt nierealizm studenta zdawał się ją razić, zamilkła i spoważniała. Majak to poczuł i był już przyzwoitszy.

Część znaczną tych godzin spędzonych znowu do późna u Alfonsa. Hrabia sam na sam rozmawiał z matką jego. Paląc cygarety, wyprowadzała go do drugiego pokoju, przechadzała się z nim lub siadała na kanapce, zostawiając Alfonsa z kolegami.

Mówiła wiele o synu, rozpytywała o Puciatów, ale też dopytywała troskliwie o przeszłość hrabiego, o jego plany, gusta i nadzieje. Zdziś był po dziecięcym szczery i spowiadał się z otwartością młodzieńczą. Zawsze jeszcze myślał o zdobywaniu stanowiska, o ciężkiej pracy itp.

Pani Robertowa patrzyła nań uważnie i uśmiechała się. W końcu białą rączką dotknęła jego dłoni i szepnęła:

— Wszystko to bardzo pięknie — ale to są marzenia... Hrabia masz takie wyposażenie od natury, że nie mając nic, nie potrzebujesz się uganiać za fortuną. Sama ona do was przyjdzie... Młody, dobrze wychowany, z nazwiskiem pięknym... gdy lepiej poznasz świat i nabędziesz śmiałości, znajdziesz rodzinę, co cię pochwyci! Słuchaj hrabia tylko mnie... ja będę waszym profesorem i mistrzynią... o! zobaczysz... obejdzie się bez trudu i mozolów.

I śmiała się patrząc mu w oczy, tak czule, iż Zdziś przestraszony spuszczać musiał źrenice...

Nazajutrz pani Robertowa miała zamiar dziękując za to, że profesor Puciata syna jej u siebie przyjmował, oddać mu wizytę, poznać piękną Herminię i zawiązać z tym domem stosunki...



Była nawet tak naiwna, iż obiecywała sobie, pannę Puciatównę, która matki nie miała. zabierać do siebie, bawić ją i nastęrczać synowi zręczność przypodobania się pięknej profesorównie... Zdzisiowi zdało się to znowu jakoś dziwnem i wątpił. czyby się ojciec mógł zgodzić na to, lecz milczał...

Gdy się już rozchodzić mieli, pani Robertowa wzięła hrabiego na stronę.

— Mon cher comte, odezwała się chwytając jego rękę—proszę cię nie rób z nami ceremonii. Jesteś przyjacielem Alfa, ja was uważam za domowego, proszę do nas codziennie na obiad i herbatę... nie odstępuję od tego... Nie śniem się tak wam narzucać obcowsowo, ale dla Alfa i dla was koniecznie potrzeba, ażebyście razem stali. Mamy dwa puste pokoje... między mojem a syna mieszkaniem — ja je zatrzymuję... Ja chcę i żądam, i napastować was będę. dopóki mi tego nie uczynicie...

Taki dowód serca i życzliwości niezmiernie ujął Zdzisia... pocałował ją w rękę, ale jak najmocniej zaprotestował... Już wychodził, gdy za nim jeszcze pogończyła:

— Dobranoc—ale ja od tego nie odstąpię — ce que femme veut, Dieu le veut...

Z głową zawróconą wyszedł Zdzis.

— To prawdziwa opatrność dla mnie... rzekł w duchu — mógłżem się spodziewać zyskać sobie takich przyjaciół? A! Bóg jest dobry i łaskaw...

Z rana przysłała jeszcze karteczka od Alfonsa, przypominająca godzinę obiadu. Z rana mieli być u Puciatów. Zdzisław ciekaw był tych odwiedzin. Dnia tego wprawdzie poszedł na odczyty i przesie-



dział w sali godzin parę. ale myślał o czem innem i nie rozumiał profesora. przypisując mu wykład ciemny. Po głowie cale co innego chodziło... Coraz się bardziej skłaniał do przekonania paui Robert'owej, iż przyszłość gotowała mu słodkie niespodzianki i że ta nauka koniec końców okaże się zupełnie zbyteczną.

Prawa rodu, prawa wyższości duchowej i posłannictwa jakiegoś. choć o nich w Samoborach nigdy wyraźnie nie mówiono, choć ich nie formułowano, jeśli się tak wyrażać godzi, przebijały się w życiu i obyczajach,—Zdziś pojęciem ich przesiałkł od dzieciństwa, wierzył więc w to, że Opatrzność potomkowi wielkiej rodziny (tak swoją sobie wyobrażał) coś była wiuna!...

Zobojętniało go to do pracy. której przez jakiś punkt honoru tylko rzucić nie chciał. Wstydzilby się był Żabickiego, współtowarzyszów, słowa danego samemu sobie... Roztargnięty wyszedł w porze obiadowej do Alfonsa... Czekano go już z obiadem. ale dnia tego panią Robert'ową znalazł niezmiernie zmienioną. Nie wyobrażał sobie. ażeby się tak gniewać i dąsać mogła i taką dumą oblec umiała! Starła się to wprawdzie ukryć i tłumaczyć znużeniem, chorobą i nerwami, lecz omylić się było trudno... Zdziś poznał. że ją przyjęcie profesora nie zadowoliło.

Piękna pani do hołdów nawykła, nie przypuszczała, ażeby ją obojętnie widzieć i obchodzić się z nią zimno było można... Wygadała się zaraz z tem, że jej się nie podobał Puciata.

— Pedant nieznośny, głupi jakiś człowiek! zawołała, a do tego jeszcze sobie wyobraża, że Puciatowie są wielką familią! Ja znałam sama jedną, która była guwernantką...

Alf milczał, był jednak posepny, bo mu o matkę chodziło.

— Panna Herminia w istocie ładna — rzekła po chwili.—ale to posąg, co czeka na Pigmaliona... Oczywiście cudowne. Byłam pewna, że Alf gnuśny dobry okaże. Rączki ma drobne i dosyć ładne, figurkę zręczną. ale to jeszcze dziecko...

Tylko mi o tym starym nie mówcie! nie chcę go znać!

Zdziś nie mógł się wcale dowiedzieć co się stało, milczano o przyjęciu. Przy obiedzie zamysłona pani Robert'owa, nie śmiejąc się Alfowi sprzeciwić, utrzymywała wszakże, iż sobie wdzięczniejszą i miłszą znaleźć może...

— Masz czasu dosyć... rzekła... ja ci się sprzeciwić nie umiem, nie mam na to siły... ale dopilnuję. żebyś się nie spieszył... Trochę motylić się też młodemu człowiekowi nie szkodzi... nabiera doświadczenia.!

Przy końcu obiadu, przeciw złemu humorowi zażądała pani Robert'owa szampana, zapaliła wcześniej cygaretkę, i pijąc zdrowie Zdzisia, odzyskała w istocie trochę wesołości.

Stała się szyderską.

— Twoja Herminia trochę mi ładną Cygankę przypomina—odezwiała się do syna... a ojciec już nie wiem kogo... Coś podobnego chyba w gabinecie figur woskowych widzieć się zdarza. Któżby się w tym zakrytywanie z białą chustką na szyi spodziewał arystokraty!... Cha! cha! cha! Mitry książęce... więc chyba Hohenzollern godzien będzie ręki panny Puciatówny. C'est parfait...

Żeby choć pieniądze mieli? ale ręczę, że to tam niewiele tego być musi, a Roszek jako syn siostrę ograbi. A tak się to nosi... tak nosi...

Na tem się skończyło. zły humor powoli się rozszedł..

Ponieważ Roch przypomniał Zdzisławowi czwartek następny, hrabia poszedł do Puciatów, tem chętniej, że i Alf miał być także. Pani Robert'owa mówiła, że ją głowa boli, a że profesor jeszcze jej był nie oddał wizyty nawet—została w domu.

Dnia tego liczniejsze było towarzystwo niż zwykle, kilka pań Niemek i Polek, kilka panienek rówieśnic Herminii, trzech czy czterech towarzyszków Rocha, Alf i Zdzisław.

Puciata ze szczególnem wyróżnieniem i serdecznością przywitał hrabiego, i nie bardzo zważając na resztę gości, odwiódł go na stronę, sadzając przy sobie. Żądał, aby mu się Zdzisław z postępów swych i nauki spowiadał, okazywał mu prawie ojcowską troskliwość. Pomimo formy nieco zimnej i pedantkiej, znać było w profesorze miłość ludzi, dobre serce...

— Słyszę, rzekł po dość długiej rozmowie, że pan hrabia jesteś bardzo w ścisłych stosunkach z tymi Robert'ami. Cóż to są za ludzie? co to za rodzina? Jakieś nazwisko nie szlacheckie... a matka tego pana—wskazał Alfa, który właśnie z Herminią żywą prowadził rozmowę — jakoś mi się nie... podobała... Coś to pachnie, aktorką, czy baletniczką, czy...

Spojrzał na Zdzisława, który się zarumienił mocno.

— Pan profesor przebaczy, rzekł — mnie się zdaje, że to osoba starannie wykształcona i nadzwyczaj miła... trochę ekscentryczna... Ludzie bardzo majątni...

— Ale cóż to właściwie jest? kto? co? zkąd to wyszło? spytał profesor...

— Zdaje się, że mają znaczne dobra... dodał Zdzis.

— To jeszcze nic nie dowodzi — mówił Puciata — kto dziś dóbr nie ma, z wyjątkiem tych, co je dawniej mieli, a utrzymać nie potrafili.. marnotrawcy, hulaki, piecuchy.. i nienki...

— Nie wszyscy stracili własną winą — westchnął Zdzisław.

Puciata pochwycił go za rękę.

— O! mój mości dobrodzieju! zawołał żywo. ale to inna rzecz, kogo los dotknął... jak mnie — jak was... W tem to już wola boża, przeciw której roznm nic.

Uprzejmym się stał bardzo Puciata i długo tak prawił Zdzisławowi o przeszłości; parę razy tylko, dojrawszy zbyt napastliwe nadskakiwanie Alfa około córki, namarszczył brwi, a w końcu pod jakimś pozorem odszedł. aby jej coś szepnąć na ucho...

Panna Herminia wyszła, a powróciwszy do salonu. widocznie unikała z Alfem spotkania. Zbliżył się do niej Zdzisław na chwilę. Dotąd mało mówił z nią i nie znał jej prawie.

Dziewczę było milczące i chłodne, odpowiadało półsłówkami. nie prędko. jakby namysławiając się nad każdym wyrazem. Dźwięk jej głosu i mowa jednakże njmujące były i słodczy pełne... a wejrzenie tych oczu olbrzymich niepokoiło wyrazem siły i powagi.

Zdzisław nie dziwił się wcale rozkochanemu w niej Alfowi — była to istota niepospolita i czyniąca na najobojętniejszym trwale wrażenie. Chciał. korzystając ze sposobności. jako dobry przyjaciel Alfa, być dlań pośrednikiem. Z rozmowy o muzyce i śpiewie po-

trafił wydobyć słówko o wielkiem uwielbieniu Roberta. nie tylko dla głosu i gry panny Herminii, ale dla jej osoby.

Panna Puciatówna popatrzała nań długo milcząca, nim się na odpowiedź zdobyła, lekki rumieniec przesunął się po jej twarzyczce...

— Panowie jesteście z sobą w ścisłej przyjaźni? zapytała.

— Tak jest, pani — zawołał Zdziś — jest to jedna z tych przyjaźni młodzińcych, co się zawiązują na całe życie... Alf jest pełnym szlachetności człowiekiem... Kocham go jak brata...

— Miło jest w obcym zyskać brata—szepnęła panna Herminia—ale tego wyrazu. jak innych, tak nadużyto!

— Mogłażbys pani nie mieć wiary?...

— W wyrazy—podchwyciła panna profesorówna—tak jest. Mało daję wyrazom wiary... Straciły one swą świętość dawną... Ludzie je na wszelkie obracają użytki...

W wymowie panny Herminii był jakiś odcień pokrewieństwa i analogia daleka z profesorską wymową ojca. Znać w niej było jego uczennicę... chociaż młodość i wdzięk odświeżały tę powagę zbytęcną i czyniły ją tylko oryginalną.

— Ale my młodzi, odparł Zdziśław żywo. cośmy nie mieli czasu mowy ani zbytęcznie używać, ani nadużyć, posługujemy się nią ze czcią dla jej uroczystego znaczenia ..

Herminia popatrzyła nań znowu długo...

— Pan może, ale pański przyjaciel—odezwiała się—

tak rozrzutnie sypie wyrażeniami, że się mu nie zawsze chce wierzyć.

— Czy mogę mu to powtórzyć? spytał Zdzisław...

Panna Herminia zarumieniała się...

— Jak się hrabiemu podoba, rzekła cicho — lecz i do moich słów nie należy może zbytniej przywiązywać wagi...

— A! pani — zawołał Zdzisław — to wiem tylko, że jak ja, tak Alf — najwyższą przywiązujemy do nich.

Rozśmiała się profesorówna.

— Jakto? i pan? przez przyjaźń dla niego? czy przez pochlebstwo dla mnie? Przebacz mi, proszę, ale ja sobie hrabiego daleko poważniejszym wyobrażałam... Czyż my kobiety nic już nie jesteśmy więcej warte, nad grzeczne komplementa??

— A! pani! przerwał Zdzisław zmieszany... czyż się godzi tak być dla mnie surową?

— Chciałabym, byś mnie pan poznał lepiej, nim mi powiesz co podobnego... Znamy się tak mało — mówiła spokojnie i chłodno patrząc na niego.

— Są przecie osoby, które nie potrzebują długiego poznawania, aby ocenione były... Urok ich...

— A! urok! powtórzyła Herminia — i... spojrzała machinalnie w głąb pokoju. To są znów wyrazy, któremi panowie jak zdawkową szafujecie monetą.

— Nie śmiem już ust otworzyć — zakończył Zdzisław z lekkim ukłonem...

Właśnie nadchodził Roszek i wmieszał się między siostrę a towarzysza.

— Widzę, że się państwo sprzeczcacie — odezwał się śmiejąc — poznaję to po minie i po upokorzonej postawie zwyciężonego jej dyalektyką Zdzisława... Kocha-

ny hrabio.. trzeba ci wiedzieć, że siostra moja. choć mówi mało i powoli, ale argumentnie tak, że z nią wygrać trudno.

— Doświadczyłem tego—rzekł Zdzisław.

— Ale o cóż szło? spytał Roszek.

Pauna milczała.

— O niezmiernie znany zarzut, czyniony nam od wieków, iż jesteśmy bałamutni w słowach i że nam nic a nic wierzyć nie można—odpowiedział Zdzisław.

Roch popatrzał na siostrę — odezwiała się do niego:

— Roszku, uderz się w piersi, czy często prawdę mówicie?

Śmiechem się to skończyło.. Zdziś odszedł przejęty ekscentrycznym. ale wdzięcznym nrywkiem rozmowy, a szczególnie głosem i wejrzeniem Herminii. Słowom jej więcej dodawała znaczenia mowa i ruchy, niż jej miały w istocie. Zmieniała je ona w jakąś melodyę, jak wszystkie muzyki nieokreślonego głębokiego wyrazu.

Zaledwie się oddalił od profesorówny, Alf go pochwycił, aby wybadać co mówili musiał mu każde jej powtórzyć słowo. Wejrzeniem. które rzuciła z dala na niego, Herminia dała poznać Zdzisławowi. iż się domysła przedmiotu rozmowy i uśmiechnęła nieznacznie...

Tak płynął wieczór. a Puciata pilnował dosyć zręcznie, jak na starego pedanta. by się Alf zbyt do córki nie zbliżał. Zdaje się, że nawet włożył na syna obowiązek przestrzeżenia kolegi, aby zbyt widocznie Herminii uwielbieniem swem nie przesładował.



Roszek mu coś na ucho poszeptał. Alf się zarumienił. z daleka wlepił wejrzenie w piękną pannę. i po chwili. dawszy znak Zdzisiowi. chwycił za kapelusz, wychodząc z nim razem... Zaledwie się ze wschodów spuścili, gdy Alf począł gorąco:

— Mój drogi Zdzis — jestem najnieszczęśliwszym z ludzi z tym profesorem... Herminia — nie wiem, ale nie zdaje się być przynajmniej niechętną dla mnie... ale stary! Wyobraź sobie. że przez Roszka mi kazał powiedzieć. iż takie zbytnie zalecanki są nieprzyzwoite i Pannę kompromitować mogą. Jestem oburzony... Gdybym mógł, nogaby tam moja nie powstała... ale jakże się wyrzec jej wejrzenia, jej oddechu... jej słowa?... Umarłbym...

Nieszczęśliwy Alf z całą gwałtownością zepsutego dziecka. rozpaczał i ręce łamał. Zdzisław jak mógł pocieszał, tłómacząc. że przestrogi ojca troskliwego za złe mu brać nie było można...

Udało się w końcu przyjacielowi nkoić rozpacz i przekonać Alfa, iż nie miał powodu narzekać... W istocie panna Herminia wcale nań mile i sympatycznie patrzyła, a gdyby dla niej i pocierpieć przyszło, i znieść nieco fantazyi profesora, wszakże godna była tego.

Alf zmusił mimo spóźnionej pory Zdzisława, aby wstąpił do niego. Nie było prawdopodobieństwa. aby o tej porze panią Robert'ową zastać mieli w pokojach, zwłaszcza że się na ból głowy nskarżała. Stało się inaczej: piękna pani wprowadzie w negliżn. ale bardzo strojnym i nwydatniającym jej wdzięki — czekała na syna — Zdzisław chciał się zaraz cofnąć — nie dozwolono mu i wprowadzono go siłą. Musiał zasiąść przy pa-



ni Robert'owej. a że synowi nie dowierzała, opowiedzieć historję wieczorn... Słuchała jej z jakimś roztargnieniem. niemal więcej zajęta opowiadaniem... Oburzył ją nudny pedagog... lecz dał jej powód do uściskania namiętnego syna... i do wybuchu czułości dla jego przyjaciela. Rozmowa ogólna o uczuciach o sprawach serdecznych, o mężczyznach, o kobietach. o sercu i t. p.. przeciągnęła się do zbytku... Z dziwną swobodą mówiła o tem pani Robert'owa przy synu... i przy tak młodym chłopcu jak Zdzisław. lecz w ogóle nie umiała się powstrzymać nigdy.. Pod koniec tych rozpraw wróciły dobre humory, a że godzina była spóźniona, a Zdzisław się wyrywał. matka Alfonsa znowu nastawać zaczęła, ażeby przeniósł się do nich.

— Pan bo nam jesteś potrzebny i uczynisz nam łaskę. Ot i dziś. jakby to miło było długo, długo gawędzić jeszcze, a musisz uciekać...

Do nalegań matki przyłączył swe prośby najczulsze Alf... Oboje tak nastawali serdecznie. tak gorąco, iż Zdzisław. który po rozwadze znajdował to wprzód niestosownem i stawiaćem go w pewnej zależności. wreszcie się dał złamać i przyrzekł uroczyście, że z początkiem miesiąca do Alfa się przeniesie...

Pani Robert'owa klasnęła w ręce, a przyjaciel go uściskał.

— My panu dobrze życzymy. trzeba być posłusznym... *vous verrez comme nous vous dorloterons ici.*

Pomimo wdzięczności. jaką w nim to obudziło. Zdzisław rozważając później w drodze dane słowo i położenie swoje nie rad był z siebie. Ułatwiał mu

to na pozór życie. lecz upokarzało. Cały ow system i teorya stoicyzmu prysnęły... W tem towarzystwie o snrowości nie mogło być mowy...

Nazajnt rz. ponieważ Żabicki od dawna nie przychodził już do niego, hrabia postanowił go odwiedzić. Wybrał godzinę, w której go powinien był zastać... Rzeczywiscie Żabicki w małej izdebinnie, zarzuconej książkami i kośćmi, siedział w kożnszku prostym. podpasanym krajką, zajęty nomenklaturą z osteologii. Na widok Zdzisława przybrał minę surową. chłodną i podał mu rękę nie mówiąc słowa...

— Takesmy się dawno nie widzieli — rzekł Zdzisław siadając na rożku kanapy zarzuconej papierami.

— To prawda. kochany hrabio, ale wy życie po za domem i nie w tych kółkach, gdziebysmy się spotykać mogli... a ja szukać was. gdybym chciał nie mam czasu... Widzicie! i wskazał rozrzucone kości.

Zdzis milczał trochę.

— Jakże wam idzie? zapytał.

— A wam? odparł Żabicki.

Hrabia ramionami ruszył.

— Nie umiem odpowiedzieć... dosyć że to, jakos idzie...

— Mnie dotąd wiedzie się doskonale... Szcęściem pamięć eksercytowałem zawsze i nie dałem jej otrętwieć... bo tu mieć jej wiele potrzeba...

Zdzisław różnemi pytaniami, półsłowy kołował, zabiegał, żeby na Alfa i jego matkę naprowadzić rozmowę; Żabicki zdawał się umyślnie tego nie dopuszczać.

Zwracał ją w inną stronę.

Unikając niespodzianki, Zdziś zamierzał wyspowiadać się z tego, że się do Alfa przenosi — począł otwarcie unosić się nad szczęściem. jakie go spotkało. nad opieką, jaką pozyskał. Żabicki ramionami ruszał i wargami kręcił...

— Lękam się, byś hrabia kiedyś nie narzekał na to. rzekł, żeś się dał zwichnąć. Ludzie są może dobrzy, ale lekcy. Alfons się nie uczy, hrabiemu uczyć się nie da... życie będzie przyjemne--ale cóż dalej? co dalej?

Zdzisław milczał...

— Powiesz mi hrabia, tak jak u nas się mówi zwykle, gdy się już nie wie co powiedzieć: jakoś to będzie! — Niestety!... tem zginęliśmy i ginimy... Wierzymy w cuda, w Opatrzność, która smaga, w los, fortunę, przypadek dla tego, ażeby nie rachować i nie pracować...

Zdzisław począł protestować, że i rachuje i pracuje. Zmilczał Żabicki. Wreszcie odwracając się począł:

— Znaszże hrabia tych ludzi, do których tak przylgnąłeś? wiesz ich przeszłość?

— Ani chciałem, ani mogłem ich o nią pytać...

Żabicki jakby znecierpliwiony, odsunął krzeselko, pozrzucał książki, stanął, ręce w długie włosy włożył i począł je zacierać, co mu się zawsze trafiało, gdy się chciał od wybuchu powstrzymać.

— Do czego się to zda—zawołał w końcu—mówić wam co oni są... to was nie rozczaruje pewnie. Dla miłości waszej, musiałem śledzić, badać, dowiadywać się... niestety.

— Cóż za—niestety!

— Tak — niestety! powtórzył Żabicki... romantyczna wielce historia. nad którą wołałbym na ten raz prozę...

Siadaj — będę mówił — dodał żywo i sam rzucił się na krzesło...

✱

„Przed dwudziestu laty... mniej więcej, książę Krzysztof R... potomek jednej z najzacieńszych rodzin, jak wiecie. z okrucich dawnego państwa jeszcze bardzo bogaty, wychowany po polsku, to jest ze wszelkimi w świecie ułatwieniami, tak, aby prędko i powierzchownie został młodzieńcem świetnym i do popisu gotowym... mieszkał około M... w dobrach swych. które mu opiekunowie oddać byli zmuszeni. choć przewidywali, że natura bujna i gorąca utrzymać mu ich nie da... Książę pan... był w istocie młodzieńcem wielkich zdolności i nadziei. Natura dała mu instynkt i talenta znakomite, łatwość pojęcia potężną. dar odgadywania wieszczy, powierzchowność ujmującą, wymowę zdobywającą ludzi, a nawet serce dobre i potrzebujące kochać. Ale dała mu przytem namiętności niepohamowane i niepragnące się pohamować, butę pradziadowską, gorącą żądzę życia i fantazyę rozbujaną w dodatku... Los przytem ostawił go ludźmi, którzy na jego słabości czyhali, aby z nich korzystać...

Można sobie wystawić, jak się tam życie poczęło, zrzuciwszy z siebie obrożę opieki i wyrwawszy się na swobodę... Pałacik maleńki, który się księciu dostał, stał otworem wesela... i — dobrej myśli. Zajeżdżały do niego fantazyje, cudze, szwały i humory jakie już dziś po świecie nie chodzą. Książę żył wszystkiemi władzami duszy i ciała... karmił poetów i literatów, sprowadzał malarzy, chłopców i dziewczęta wiejskie sposobił na muzyków i aktorów...

Do stajni sprowadzono arabów, do myśliwstwa psy z całego świata, do stołu dowcipnych towarzyszków. do kuchni *maître d'hotel*ów z Paryża.

Namiętnostki i namiętności mieniały się i wymijały w dziedzińcu, przejeżdżając z kolei. Pół roku czasem był szal teatr, po tem fantazyja koni, po tem ucztowanie bez miary, niekiedy literatura i sztuka. Książę przywiązywał się do czegoś, lgnął, używał. przesycił się i przerzucał. Można było przewidzieć, że żelazny temperament, kolosalna fortuna i najsilniejsze zdrowie na takie saturnalia nie starczą.

Majątek pierwszy runął, ale w tej samej prawie chwili, gdy nazajutrz miało zabraknąć chleba i czci, spadło ogromne dziedzictwo na księcia, który nad przepaścią już cudem został uratowany. To go nieco upamiętało... Kilka tygodni zamętu i zwątpienia dały mu poznać ludzi w całej ich nikczemności i brudzie. Odbiegli go byli wszyscy, chwytając co kto mógł... Książę się śmiał, patrząc na tę hecę, ale z goryczą w sercu. Przepędził właśnie sznję co go otaczała. gdy fortuna się znowu uśmiechnęła... Ichmoście chcieliby byli powrócić, ale zastali drzwi zamknięte.

Książę się stał dziwakiem... odosobnił się. spoważniał. żył jakiś czas pustelnikiem z samym z sobą, z Montaigne'm, z kilkunastu filozofami i z myślami, które go trapiły i gryzły. Strata majątku była niczem, ale w tej bachanalii poszły skarby ducha i serca, zmarnowały się uczucia młodzieńcze: wiara, miłość i nadzieja... Książę się stał sceptykiem. mizantropem i fatalistą...

Wyjechał z domu, nie było go długo...

Nie dziw się hrabio, że opowiadał ze szczegółami, znam tę historię z bardzo bliska i z najlepszego źródła... *trochę de visu i de auditu.*

Błądził po świecie, wrócił do kraju. Z nałogów młodości nie wychodzi się łatwo, najpotężniejsza wola nie starczy, nałóg mechanicznie włada człowiekiem, łamie go, rozum zwycięża...

Książę się nudził i usiłował rozrywać, często w najdziwniejszy sposób. Mówiłem już, że miał poczucie i zachcianki artystyczne, że lubił sztukę, teatr i poezję. Co większa, nabył znajomości ich i smaku... Nienawidził rzeczy trywialnych, trzeba mu było oryginalności koniecznie, choćby jej na świecie nie było... Odkrywał artyzm i jego zarody tam, gdzieby ich inne nie dojrzało oko... W jednej z podróży swych, które śmiało fantastycznymi nazwać można, zajeżdżał książę na jarmark do B. Jak zwykle, począł chodzić między budami.

Przed jedną z nich chudy, posępnej twarzy. w trykotach i nędznym ubraniu niby hiszpańskim. w toku z piórami, kuglarz zapraszał na sztuki. Zmudzonemu panu przyszła fantazya zasiąść na ławie...

Afisz teatralny składał się z kilku części, między któremi logicznego związku nie było. Orkiestrę składały skrzypce, basetla, klarnet i bębenek... Zamiast uwertury odegrano jakiś szczałek muzyczny, wywrócony do niepoznania... ale z werwą ogromną.

Silacz wystąpił potem z popisem mocy i zręczności. Wcale to nie było zabawne... Na trzecie daie w solowym tańcu z kastanietami wybiegła dziewczynka dwunasto czy trzynastoletnia. która zarazem odspiewała piosenkę.

Była to perła rodziny... Afisz zwał ją Lorką.. Zwróciła oczy księcia... Była istotnie perłą na śmiesisku. cudownej piękności. niezrównanego wrodzonego wdzięku, ze słowiczym choć niewprawnym głosem. a swawolna, zalotna. nad wiek rozwinięta.

Księżę począł bić ogromne brawa... Lorka musiała dwa razy piosnkę odśpiewać i dwa razy odtańczyć bolero... Skłoniła się potem nielicznej publice. księciu pocałunek od ust rączką posłała i znikła...

Na afiszu stało, iż Lorka raz jeszcze w końcu reprezentacyi występować miała i księżę pozostał aż do końca. mimo że zmuszony był patrzeć na najnieznośniejsze w świecie ekwilibryczne sztuki i łamańce... Zachwycony był dziewczką, a szczególnie jej pięknoscia i śmiałością obejściem...

Dotrwał więc w budzie, aby jeszcze raz Lorkę zobaczyć.

Śpiewała potem jedną. trochę swawolną piosenkę, tańcząc razem. a rozwinęła taki wdziek w tym popisie, iż nietylko tantastyk nasz, ale co żyło było w uniesieniu. Klaskano bez końca... Dziewczę się

śmiało z radości i kurtyna zapadła. Widzowie się rozchodzili, gaszono światła w budzie, książę pozostał ostatni. Chudy jegomość w trykotach i hiszpańskiej kryzie zajmował się uporządkowaniem parteru. gdy syknąwszy nań, książę go do siebie zawołał. A miał postawę pańską i poznać w nim było łatwo, do jakiej sfery należał, a raczej z jakiej wychodził. Począł od zyskania sobie rublem życzliwości Hiszpana.

— Mój kochany, rzekł — co to jest ta wasza Lorka?... zapytał.

Chudensz popatrzał długo na pytającego, od stóp do głowy go obejrzał i odparł:

— Nasza Lorka, jaśnie panie — jeśli się tak wyrazić godzi, perłą jest i fenomenem. Nic podobnego na świecie nie było, nie ma i nie będzie.

Rozśmieszył tem księcia JMosci, który dobył z niego wreszcie wiadomość, iż Lorka była córką entrepreneurera, ale z pierwszej jego żony, czy też krewną bardzo bliską, bo różnie o tem mówiono.

Rozmowa z chudenszem wyciągnęła na scenę i samego pana entrepreneurera, za nim siłacza i ekwilibrystę, stróża i psa nawet należącego do personelu. Był to pndel, który zgadywał na jarmarkach kto w kim się kochał i liczył do dziesięcin. Wyszła za nim Lorka, tak ubrana kuso i wygorsowana, jak była na scenie...

Entrepreneur domyslił się zaraz z kim i o co miał do czynienia — lecz się oburzył nadzwyczajnem zajęciem, jakie książę dla dziecka okazywał.. i z czułością do piersi je przyciskał, mówiąc, że za żadne skarby nigdy się z nim nie rozdzieli.



Nazajutrz jednak druga żona jego przyszła do księcia niby z wymówkami. a w istocie z ofertą. że możeby ona coś uczynić mogła... Książę oświadczył. że nic innego nie żąda, tylko łożyć na wychowanie tak utalentowanej dziewczeczki, i że przez czystą miłość dla sztuki chce się zająć jej losem... Jejmość poszła z tem, przyprowadziła męża, układy szły tępo i zostały zerwane. Wieczorem niby bez wiedzy męża przybiegła znowu entrepreneurowa. prowadząc z sobą Lorkę śmiesznie wystrojoną i nauczoną jaką rolę grać miała...

Drugiego dnia zgodził się stary ojciec, czy opiekun, bo jakoś nie jasno się tłómaczył z praw swoich. na przelanie ich księciu. który brał na siebie przyszłość Lorki. — lecz naturalnie tak genialnego dziecka nie mógł się wyrzec bez wynagrodzenia. Indemnizacya ta stanowiła sumkę dosyć przyzwoitą. za którą przedsiębiorca spodziewał się sprawić sobie przyrządy teatralne okazańsze i personel swego towarzystwa powiększyć o jednego pajaca i jedną dorosłą primadonnę...

Lorka dumna z tego. że książę się nią chciał opiekować, bez żalu szła za nim, i nie okazała wcale czułości dla tych. z którymi się rozstawiała. Przyjąwszy tymczasowo guwernantkę do niej. książę, który utrzymywał. że z niej zrobi ósme cudo świata, wyprawił ją do Warszawy na wychowanie, na które nic nie szczędził... Z niezmierną ciekawością i zajęciem śledził postępy w istocie olbrzymie i szybkie Lorki, która zarazem opanowywała jego umysł i serce. Dziecko zabawne. piękne. samowolne wkrótce urosło na po-

wabne, a roztrzępane dziewczę. którego powabom książę się oprzeć nie umiał.

W kilka lat potem Laura na wsi królowała w pałacu... a mało co później była panią pięknego klucza sprzedanego jej pozornie, darowanego rzeczywiście...

Zdawało się po urodzeniu syna, że książę się z nią ożeni.. Nie wiem co zaszło, ale piękna Laura Robert'owa została w nieokreślonym położeniu dawniejszem, zowiąc się tylko panią, a książę w lat kilka musiał się ożenić z hrabianką, która mu ogromną wniosła fortunę i nieznośny charakter.

Stosunki z panią Laurą. na pozór zerwane. trwać miały i trwają podobno do dziś dnia... Książę do syna jest przywiązany, dba o ile umie i może o jego wychowanie. Otóż masz, jeśli chcesz historję pani Robert'owej i twego przyjaciela Alfa... jest najprawdziwsza w świecie...

Zdzis słuchając to się marszczył. to zżymał — dał dokończyć Żabickiemu. ale nie okazał po sobie, ażeby opowiadanie miało na nim wielkie uczynić wrażenie. Zdawał się za nie mieć więcej żalu do dawnego nauczyciela, niż do losu.

— Ale proszę cię, rzekł, gdy Żabicki umilkł — co to wszystko mnie ma obchodzić? Pani Robert'owa jest osobą pełną życia. pełną serca, wychowaną starannie... To co ją dotknęło, obwinia więcej księcia niż ją. Widzę w niej oliarę. a w Alfie dla mnie. choć nieuznaną, krew książąt R... płynie. W oczach moich nie upokarza go to, czemu on nie winien wcale.

— A p r è s ?? spytał Zdzis wstając...

— Ja nie wyciągam żadnego wniosku, dodał Żabicki, zostawiam go tobie, kochany hrabio. Zrób z tem co ci się podoba... Czy to jest właściwe dla was towarzystwo?...

— Zkądże wam znowu jakieś arystokratyczne pojęcia? rozśmiał się Zdziś.

— Nie idzie tu wcale o nie... jest pewna w obcowaniu wyłączość, której ja, choć demokrata, potrzebę uznaję. Obecny z kim chcesz, byle nie z próżniakami podejrzaney moralności...

Zdziś się obruszył.

— Ale proszę cię — zkądżeś wziął podejrzaną moralność? Ja tego nie dopuszczę, aby im lekkomyślnie uwłaczano? Alf jest moim przyjacielem...

A ja? spytał Żabicki.

— Wiecie, jak was ceniłem — począł Zdziś — jak cenię, ilem wam winien; ale byłbym nikczemny, gdybym tych, co mi serce i dom utworzyli, nie bronił... To są ludzie zacni i szlachetni.

— A ja co im uwłóczę niesłusznie, jestem niegodziwym oszczercą? zawołał unosząc się także Żabicki.

Stanęli naprzeciw siebie w postawach niemal groźnych, obu w sercach kipiało. Zdziś, który był wielbicielem pani Robert'owej, choć z tego uwielbienia sam sobie dobrze sprawy nie zdawał jakiej ono było natury, zdawał się gotów kruszyć kopie za nią. Żabicki nie myślał ustąpić. Mówił z serca dobrego, nie czuł się winnym...

— Jak można wyrokować o ludziach, których się zna mało.. na mocy jakichś podejrzaných i złośliwych plotek?... wołał Zdziś — to się nie godzi...

— W istocie. odparł czerwieniąc się Żabicki — winienem i przepraszam hrabiego. Rachowałem na to, że mnie znasz lepiej, że pobudki mojego postępowania ocenić potrafisz. Przestroga moja przychodzi za późno. .

— Tak jest! rzekł popędliwie Zdzisł: za późno — bo nadto ich znam i szanuję, ażeby złośliwe jakieś insymniacy podzielać mogły na mnie. •

— Nie pozostaje hrabiemu nic prócz wybierania pomiędzy mną a nimi — odezwał się Żabicki szydersko... możesz uczynić jak się podoba. .

Wahał się nieco Zdzisł... znać było, że z sobą walczył, ale nagle porwał kapelusz leżący na stoliku. skłonił się w milczeniu i wyszedł pędem...

Żabicki patrzył za nim długo. westchnął i siadł do pracy, do której jednak długo ciężko mu było zebrać myśli.

Nie lepiej się czuł Zdzisław. który wzburzony wybiegł na ulicę, a nie chcąc się przyznać do winy przed sobą, malował czyn swój jako heroiczny postępek i mężne ujęcie się za honor nieszczęśliwej rodziny, która mu tyle dała przyjaźni dowodów... Był pewien, że inaczej nie godziło mu się postąpić, że Żabicki był winien, że spełnił obowiązek... Przywiązało go to mocniej jeszcze może do Alfa i jego matki.

Ochłonawszy nieco po tej walce. o której postanowił nie wspominać nikomu.. nad wieczór powrócił do Alfa. gdzie go jak zwykle przyjęto jako domowego. W istocie matka Roberta okazała mu przyjaźń coraz czulszą. i wywoływała w młodzieńczem jego sercu uczucie osobliwe. które napróżno w granicach poszanowania starał się utrzymać.

Nie przekraczał ich jednak dobrowolnie i tłómaczył je sobie jak mógł najprzyzwoiciej.

Odkrycie pochodzenia pani Robert'owej i jej przeszłości. nietylko nie rozczarowało go, ale dziwnym sposobem przywiązało może więcej jeszcze...

Ani też poznać po nim mogli wieczorem, że się cokolwiek więcej o nich dowiedział nad to, co mu sami półgębkiem kiedy powiedzieli Śmielszym był nieco — nic więcej.

Trafił na wielką naradę matki z synem. Szło o pannę Herminię. Pani Robert'owa zapoznała się z jedną z tych pań. które w domu Puciatów bywały. Była to Niemka, literatka, autorka kilku powieści. osoba już niemłoda. a mimo to młodzieńcze mająca uczucia. mało znająca świata, choć o nim wiele pisała, tworząc go sobie w gabinecie, wedle pochwytych pojęć. dopełnionych żywą wyobraźnią. Panna von Röttler. która przeboleła na miłość tragicznie zakończoną śmiercią porucznika poległego na placu boju odznaczała się słabością swą dla kochających się i cierpiących na serce... Gotowa była pomagać wszystkim... aby mieć przyjemność patrzenia na rozwój tego uczucia, którego w sercu swem nosiła zerwany wątek. Chodziła w niebieskich okularach wprawdzie. ale uczucia zachowała dziewicze i dziecinne.

Łatwo było pani Robert'owej wciągnąć ją do spisku. nprosić, aby pomagała dwojgu kochających się istot. Wnosiła bowiem, że panna Puciatówna nie mogła nie kochać Alfka — któżby go nie kochał?

Od panny von Röttler dowiedziała się że profesor. człowiek bardzo oszczędny, i jako matematyk, umiejący rachować, dorobił się bardzo znacznego majątku, z którym się tylko ukrywał, aby dzieciom nie zawracać głowy, a Roszka zmusić do pracy. Być może, iż ta wiadomość skłoniła panią Robert'ową więcej jeszcze ku pannie Herminii, która posażną być miała. Ponieważ profesor nie zbyt zdawał się sprzyjać Alfkowi, postanowiono u panny von Röttler ułatwiać młodej parze swobodniejsze schadzki.

Stara panna z razn się nieco wahała jakoś, ale wprędce dała przekonać, że w tem nic złego być nie mogło, że młodzi ludzie widywać się mieli przy świadkach... Weszła więc do spisku, ujęta grzecznościami natarczywemi pani Robert'owej, i przyrzekła ściągać do siebie pannę Herminię.

Cieszono się z tego, jak ze zwyczajtwa, matka ścisła i całowała syna, promieniejąc radością.

— Widzisz, rzekła — i ja się tu na coś przydałam... a ten nudziarz, pedant stary, gdy mi córkę rozkochasz smiertelnie, będzie ci ją dąć mnsiał...

Zdzisław ani pochwalał, ani się sprzeciwiał milczał.

Alt zdawał się być pewnym przywiązania pięknej panny, chociaż ściśle badany przez matkę, chcącą wiedzieć o najmniejszym szczególe, na dowód skłonności panny Herminii nie tak bardzo przekonującego przytoczyć nie mógł.

Wkrótce jakos potem oznaczony termin na przenosiny hrabiego nadszedł. usiłował się jeszcze wymówić, lecz Alt go sciskał, sama pani natarczywie zmuszała, aby dotrzymał słowa, i hrabia, rad nie rad mu-

siał mieszkanie swe pierwsze pożegnać. Bez wiedzy jego urządzono mu dwa pokoje przytykające z jednej strony do mieszkania Alfa, z drugiej do saloniku pani Robert'owej, aż nadto wykwintnie i wymyślnie. Czuć w tem było rękę przyjaciela, a raczej niewieściej opiekunki... Zdziś był tem serdecznie ujęty. piękna pani bardzo szczęśliwa — dla syna — jak powiadała...

Razem z tem przypadła zmiana w wewnętrznem urządzeniu domu, w którym pani Robert'owa więcej osób przyjmować chciała wieczorami, i niekoniecznie samą młodzież akademicką. Panna von Röttler obiecywała bardzo przyjemne znajomości artystów muzyków, malarzy i literatów...

Salon więc jeden na ten cel staranniej przygotowany. . . Wkrótce prawie każdego wieczoru gości coraz nowych było pełno. czas spędzano bardzo przyjemnie, a gdy Alf lub Zdzisław przypadkiem wspomnieli o egzaminach i nauce, przesmiewała ich pedanterję pani Robert'owa. Uczyć się prawie nie było czasu. Zdzisław był wzięty w kontrybucję albo przez przyjaciela, którego zwierzeń słuchać musiał, lub przez matkę, która go nieustannie na coś potrzebowała i spoufalila z sobą do zbytku... Zaledwie usiadł nad książką hrabia, pukała do drzwi i wołała go do siebie, często nawet w nienormalnych dnia godzinach. Ile razy mowa była o przyszłości, a Zdziś się o nią troskał, odpowiadała mu ruszeniem ramion lub klapssem po rękę — że jego trwoga nie miała sensu.

Zdzisław sam w końcu przestał myśleć zbyt wiele o jutrze, bo teraźniejszość z każdym dniem milzą mu się stawała.



Jakkolwiek z razu był oszczędny, a teraz pozornie wydatki miał mniejsze... z trwogą jednak po upływie kilku miesięcy, obliczając się spostrzegł, iż fundusz ostatni uszczuplił się znacznie. Grywano tu codzień, hrabia się często nie mógł wymówić i wstydził, wygrywał czasem, ale ostatecznie poniósł uszczerbek... Chwilę trwogi z tego powodu, zatarły rozrywki powszednie. Pani Robert'owa umiała życie urządzić bardzo wesoło, nie dając czasu się nudzić sobie, synowi, ani hrabiemu. Wieczory, jeśli ich nie spędzano w teatrze, który lubiła bardzo, schodziły na muzyce, na rozmowie i kartach... Wymyslało przejażdżki, wycieczki, podwieczorki, śniadania nienastanne...

Panna von Röttler i kilkoro Niemców, przejezdni Polacy, składali towarzystwo. Nie zbywało na akademikach...

Ktoby był w tych czasach przypatrywał się Zdziśowi, w dosyć niedługim przeciągu kilku miesięcy, dostrzegłby w nim wielką zmianę.

Chłopię niemal do studencika podobne, dosyć niesmiałe, rumieniące się, skromne, nabrało jakiejs brawury, mężkości, śmiałości w obejściu z kobietami, jakiej nigdy nie miało... Chwilami Zdziś wyglądał na zarozumiałego don Żuanika początkującego...

Jego miłostki dawne, Elsa i Stasia, zupełnie mu wyszły z głowy, — o nowych wcale nie myślał. Stosunki z panią Robert'ową przeszły w największą poufałość, do której ona pierwsza niemal zmuszała. żartobliwie przy synu nawet zowiąc go swoim kochankiem...

Były to tylko żarty zapewne, ale nieco dziwne... Alf, gdy mu co u matki uzyskać było potrzeba, posłu-



giwał się Zdzisiem. utrzymując. że jemu to łatwiej przyjdzie wyrobić.. Wiele rzeczy w domu zdawano na hrabiego, który zrazu mniej śmiało, w końcu się nauczył bez ceremonii rozporządzać. W tem życiu tak czynnem i roztargnień pełnem. zdrowie nawet młodego panicza zdawało się cierpieć nieco. Stracił świeżość młodzieńczą. żywe owe rumieńce dawne i wyraz twarzy dziecinny, chociaż nie można było powiedzieć. aby się zamęczał nanką.

Dawne plany życia. programy przyszłości, wszystko się to jakoś zatarło i zapomniało.

Z pomocą panny von Röttler miłość też Alfa. rozkochanego do szaleństwa. zdawała się uzyskiwać wzajemność. Panna Herminia godzinami prowadziła z nim rozmowy. udawała niedowierzającą młodzień-  
czym zapałom, ale objawów ich nie unikała. Młodzi ludzie spotykali się na przechadzkach, u panny von Röttler, w domu profesora, gdzie pozornie unikać od siebie musieli. i w kilku towarzystwach. do których opiekunka Alfa wprowadziła... Roszka potrafił on uzyskać na swą stronę zupełnie... Pomimo to wszystko. ze strony profesorówny. uczucie jakie okazywała, było ostrożne. chłodne nieco i nie odpowiadało gorącości, z jaką Alf modlił się do swojego bóstwa...

Matka słysząc skargi jego, gniewała się na przemiany, płakała, najśmielsze knuła intryg plany... ale to wszystko do niczego nie pomagało... Zdzisław. którego Puciata lubił bardzo i do domu nietylko mu wstępu nie bronił, ale go usilnie zapraszał. był w tem dziwnem położeniu. że dla miłości Alfa, którego był posłem. musiał się zbliżać do panny. co mogło staremu profesorowi dawać do myślenia, iż Herminia mu się

podobała. A że Alf w obec ojca starał się okazywać chłodnym, na wieczorach Zdzisław niemal wyglądał na konkurenta.

Puciata nie tylko mu nigdy nie nagał za długich często rozmów z córką, ale parę razy sam mu powiedział śmiejąc się:

— Idź, kochany hrabio, do Mini, z nią się lepiej zabawisz, niż ze mną starym. a ona z wami lubi rozmawiać...

Alfa Puciata przeciwnie pilnował bacznie, ażeby się nie zbliżał do zbytku, i zwykle mu poczętą przecinał rozmowę. Na hrabiego przypadała więc rola pośrednika i posła...

Panna Herminia okazywała mu przyjaźń wielką i była z nim poufalszą niż z innymi. Urokowi jej Zdzisław opierał się, szanując tę, którą uważał za przyszlą narzeczoną przyjaciela, i przez jakąś obojętność szczególną, która w tak młodym człowieku zdawała się niezrozumiałą. Jakkolwiek ostygły jednak, choć mu na myśl nie przyszło nigdy mówić o żadnem uczuciu, w swoim imieniu. Zdzisław miał chwile, w których go wejrzenie tych słicznych oczu czarnych elektryzowało, a poetyczna mowa poruszała do głębi.

Nie obcuje prawie z innymi kobietami, oprócz codziennie widywanej pani Robertowej, której rozmowa wesola była, dowcipna, ale nie budząca uczuć żadnych, nad bardzo proste i prozaiczne, Zdzisław miłował odżywał, odmłodzonym się czuł, rozpoetyzowanym zbliżeniem do Herminii.

Nie umiał sobie wytłómaczyć jej uczucia dla Alfa... było to bierne jakoby przysłuchiwanie się mu

łości, coś jak litość dla niej, niby rozbudzona ciekawość tylko. Alf nie wwoływał na twarz jej rumieńca, ani jej nabawiał niepokoju. Przyjmowała go uśmiechem, odprawiała poufałem głowy skinieniem. dawała mu pamiątki, których był żądny, kwiatki z bukietu... rękawiczki, które chwycił i na piersiach nosił, ale od niego przyjmując coś nawzajem, najczęściej gdzieś w kącie zapominała. Piękna bardzo twarzyczka Alfa, jego postać zręczna nie sciągały jej oczu wcale...

Gdy Zdzisław odchodził od niej, często długo z dala mu się przypatrywała... jakby ją żywiej daleko od Alfa zajmował... Z nim poufale rozbierali po młodzieńczemu, a raczej po dziecinnemu wielkie zadania życia. Zdzisł odchodził zadumany jej rozumem i fantazją, lecz wprędce szczepiotanie pani Laury zacierało to wrażenie...

Jednego dnia Puciata, który zdawał się wesoło śledzić zawiązujące się między nim a córką stosunki, wziął go na stronę...

— Bieda to, mój hrabio, odezwał się (tytułu tego nigdy nie omijał, wymawiając go bardzo dosadnie). bieda to, gdy w domu matki nie ma, a na starego ojca, jak ja, spadnie ciężar dozierania córki... Zwłaszcza, gdy, jak u nas, młodzieży w domu pełno zawsze. dziewczę powabne, co się zowie, roją się koło niej dudki, a czelkby to rad na cztery wiatry porozpędzać...

Uderzył go po kolanie...

— Takich jak wy, kochany hrabio — dodał — dobrze wychowanych, przyzwoitych... niechby jak najwięcej było... młodość potrzebuje rozrywki i towa-

rzystwa... ale ot coś podobnego jak ta porcelanowa figurka, ten wasz przyjaciel Alf... no — cierpieć nie mogę...

— Panie profesorze, ujął się Zdzisław, znam dobrze mojego przyjaciela i ręczyć mogę za niego, że to złote serce, szlachetny charakter...

— Ale wierzę, wierzę — rzekł profesor, — tylko to pieszczone, zepsute... miękkie — matka psuje... do niczego! to nie mężczyzna...

Miedzy nami mówiąc, począł nachylając się Zdzisławowi do ucha — widzę to dobrze. że się w Mini kocha... Pan jako przyjaciel powinienbyś go przestrzedz... że czas marnuje na ten affekt próżno. Jak mnie hrabio żywego widzisz... gdyby miliony miał a z miłości schnął, i gdyby Minia nawet do niego się przywiązała... czego Boże uchwaj — nigdybym jej za niego nie dał. Nigdy w życiu!!

Zdzisław zdziwiony spojrzał w oczy staremu.

— Seryo mówię — kończył profesor... Wiem jego pochodzenie... książęce... to dla mnie dosyć... matka też...

Prychnął profesor i mówił dalej:

— Niech to sobie kto chce za śmieszność poczyta. ale ja o ród stoję, o krew, o imię... za jakiegoś tam Roberta z lewej ręki książęcej, dziecka nie dam... Wstąpiłby z grobu Puciatowie przeciwko mnie...

Podniósł się stary, westchnął, przybrał uroczystą minę i powtórzył:

Nigdy w świecie! nigdy! Niech idzie za ubogiego... niech w ostatku i za ładajakiego szlachetkę. ale za tego pochodzenia jegomosci... nigdy w świecie...

Strzepnął rękami.

— Cóż on temu winien? panie profesorze... odezwał się Zdzisław po cichu.

— Nie winię go—odparł Puciata—ale go nie chcę. Więcej powiem, żal mi go nawet...

Na tem skończyła się rozmowa...

Zdzisław odszedł rozmyślając nad tem, czy mu wypadało ten stanowczy wyrok powtórzyć za powrotem do domu czy nie? Zdało mu się, że profesor umyślnie mu się zwierzył w tym celu, ażeby wcześniej próżną Alfowi odjął nadzieję. Wiedział jednak, jak bolesne to uczyni wrażenie na nim i do jakiej go rozpaczy doprowadzić może — po rozmyślach więc postanowił chyba przed Robert'ową się tylko wypowiadać. Alfa tego dnia nie było u Puciatów, Zdzisł chodził do niego z poselstwem... Wracając wstąpił do Roszka, u którego zagadali się do późna, tak, że gdy do domu przybył, Alf już spał... Zaledwie drzwi skrzypnęły, gdy od strony saloniku matki dało się słyszeć pukanie i cichy głos:

— Chodź do mnie...

Od niejakiego czasu pani Robert'owa w ten sposób mawiała do Zdzisia... Musiał być posłuszny, drzwi saloniku niczem nie były zastawione, zamykały się na kluczyk z przeciwnej strony. wpuszczono go więc natychmiast. Piękna pani była w wieczornem ubraniu, posadziła przy sobie Zdzisia i z dziwną poufałością poczęła się dopominać o sprawozdanie z wieczoru...

— Cóżes taki chmurny?... mów bo...

Profesor mi humor popsuł—odparł Zdzis. Mieliśmy z nim całę osobliwą rozmowę. Dziwak jest. Wyobraża sobie swoją rodzinę czemś tak wielkiem i dostojnem, że... że...

Tu Zdziś umilkł.

— Stary głupiec! zawołała Laura. Kogoż on dla córki chce? zwaryował czy co?

Pani Robertowa im w większy wpadała zapł. tem zwykła była rubaszniej się wyrażać...

— Mów bo bez ogródki — chcę wiedzieć. powtórz mi jego słowa...

Zdzisław zarumienił się mocno, posłusznym być nie było sposobu. musiał skłamać i zaplątał to jakos w ogólniki... ale niemniej dobitnie wytkłomaczył, że profesor nie wyda córki za nieszlachezca bez imienia...

Kilka wyrazów dosadnych bardzo wyrwało się z ust pięknej kobiety, która ze zmarszczonemi brwiami, w tym stroju wieczornym z napół obnażonemi rękami, dziwnie się jeszcze piękną wydawała...

Zerwała się z kanapy, poczynając chodzić po pokoju żywo...

— Cóż? zaklął się? zaprzysiągł? czy to seryo? zawołała...

— Ale najuroczyściej w świecie...

— Może i na to być sposób — rzekła po cichu. Ja dla mojego Alfa na wszystkim gotowa... a ty — Zdziś.. pewna jestem, także, bo ty go kochasz jak ja...

Nagle zbliżyła się do niego i pocałowała go w czoło... Zdziś zarumienił się cały...

Wolałabym, ciągnęła dalej, żeby Alf się jej wyrzekł i w innej zakochał, ale on ma moją natręć... serce gorące... namiętności gwałtowne... Czy będzie z nią szczęśliwy czy nie, a mieć ją musi... Taka natura nasza...

Westchnęła piękna pani...

— Znajdziemy sposób — musimy go znaleźć...

W tem nagle oczy się jej zaiskrzyły. Uderzyła w dłonie...

— Ty musisz nam pomóc...

— Ja? czem? jak? odezwał się hrabia...

Pani Robertowa zbliżyła się do niego.

— Powiesz pewnie, że na taki pomysł tylko taka szalona kobieta jak ja zdobyć się może... ale mnie o Alfa chodzi. Co mi tam! a ty — ty nas zdradzić nie możesz...

Postąpiła kilka kroków...

— Ty się z nią ożenisz... ale od ołtarza rozejdziecie się natychmiast... Ona przez to małżeństwo stanie się panią swej woli... Weźmiecie rozwód i Alf się z nią ożeni...

— Uderzyła w dłonie: — A co?

Zdzisław zerwał się z kanapy.

— Ale to nie może być! zawołał.

— Dla czego? ty jej nie kochasz, nie możesz jej kochać, dla ciebie ona obojętna, tobie to wszystko jedno.. To przyjacielska służba.. Ja cię dopilnuję, żebyś mi ani śmiał spojrzeć na nią. Inaczej z rąk profesora wyzwolic jej niepodobna. A za ciebie on ją wyda...

— To żart — odezwał się Zdzisław — to w żaden sposób być nie może...

— Jako nie może? a ja... ja wam daję słowo, ja o tem w jakiejś książce włoskiej czytałam, że się to przytrafiło... mówiła gorąco pani Robertowa.

Zdzisław rozśmiał się i ruszył ramionami. Godzina pierwsza biła na zegarze; popatrzał na rozognioną twarz kobiety i — zaczął się śmiać do rozpuku.

Pani Robert'owa przybrała minę strapioną i poważną.

— Zdziś! zawołała — śmiejesz się ze mnie. ale ja nie żartuję — ja ci mówię — to musi być. Jakimkolwiek sposobem, ja ją dla Alfa mieć muszę. Alf umrze z rozpaczy, a ja go nie przeżyję. Ta śmieszna dziewczyna wykraść się nie da. panna Röttler powiada, że to niepodobieństwo... nie ma sposobu innego...

Zdzisław śmiał się ciągle, przystąpił do pani Robert'owej, pocałował ją w rękę i nie słuchając już więcej. wybiegł do swojego pokoju, drzwi zatraskując za sobą. Tu padł na kanapkę. śmiech go opuścił, twarz spoważniała, zadumał się głęboko — ręce opadły. czoło się zmarszczyło. W sąsiedniej salce słychać było chodzącą szybkimi krokami panią Robert'ową... Zdzisław zapadł w marzenie jakieś, w jakiś rachunek z sumieniem własnem. Porównywał swe położenie pierwsze z teraźniejszym, chwilę przybycia do miasta tego i obecną — jakiś niesmak wkradł mu się do duszy. Nie mógł sam ukryć przed sobą, że nieznacznie zaszedł w jakiś zapadły kąt, z którego energiczna wola wyprowadzić go mogła, dopóki czas był jeszcze — a czuł, że na tej woli mu zbywało, i gniewał się na siebie. Otaczały go niewidzialne łańcuchy, któremi nie wiedział kiedy jak go opasano..

Dokąd go te stosunki zaprowadzić mogły?? W co miała obrócić się przyszłość? W chwili jakiegos jasnowidzenia, czarne przed sobą ujrzał horyzonty — dreszcz przebiegł po nim... Zobaczył matkę. odsunął na chwilę przeszłość... i padł na kanapę za-



krywając oczy. jak by niemi mógł zasłonić przed sobą przyszłość groźną...

„Co począć? co począć? pytał się nie znajdując odpowiedzi. Jestem już niewolnikiem na wieki? Czy znalazły się po powiekach, i spływające dopiero schwytał na twarzy...

Cisza głęboka panowała do koła. „Trzeba coś obmyśleć i postanowić! rzekł w duchu... Jutro!..

Nazajutrz obudził się Zdzisław rano. i wracając myślą od wypadków wczorajszego wieczoru. znalazł się do zbytku dziecinny. Obawy. zgryzoty, postanowienia, wszystko to przyszło w brzasku dziennym. Powracał do zwykłego trybu życia, wyrzucając sobie, że się mar próżnych mógł przestraszyć.

Alf przyszedł do niego z pytaniami do łóżka; odpowiedział mu ogólnikami... Potem zawołano na śniadanie: pani Robert'owa przybyła także w ranym stroju wielce wytwornym, ale poważniejsza i smutniejsza niż zwykle. Ucisnęła Alfa z podwójną, prawie namiętą czułością, spojrzała na Zdzisława jakby z wymówką jakąś... Zaczęła snuć plany na dzień następujący...

Zdzisław milczał,—z panią Robert'ową powróciły mu te trwogi wieczorne. Widok tej kobiety czynił na nim dziwne wrażenie niewoli. W istocie władała nim despotycznie, oprzeć się jej nie umiał, zapóźno było może wyłamać się z tego jarzma. .

Przez cały ciąg opowiadania matka Alfonsa ukradkiem tylko spoglądała na Zdzisława... potem wysłała syna po jakiś sprawuneczek na miasto... Zdziś chciał wyjść także; kazała mu się zatrzymać

Pozostać z nią sam na sam tym razem było mi przykro, lecz... musiał. Zaledwie się drzwi za Alfem zamknęły. gdy pani Robert'owa zwróciła się gwałtownie ku niemu.

— Zdziś! śmiałeś się wczoraj ze mnie! zawołała— co to miało znaczyć? Jestem więc tak niedorzeczna?... mów. .

— Nie mogłem się nie rozśmiać—odezwał się hrabia—myśl była tak dziwaczna... tak... osobliwa...

— Mogło ci się to wydawać szaleństwem — gwałtownie poczęła pani Robert'owa — ale ja myślałam o tem noc całą... Ja Alfa kocham, a moja miłość nie zna przeszkód, i wszystkie zwalczyć musi. sto razy mówiłeś mi, że gotoweś dla Alfa i dla mnie się poświęcić? Cóż w mojej myśli tak strasznego?

— Czyż pani nie widzisz tego — przerwał Zdzisław — że toby było kłamstwem i podstępem przed obliczem Boga, że toby było krzywoprzysięstwem? że z obrzędn religijnego czynić taką... nie wiem już jak nazwać... spekulację, intrygę. jest rzeczą niegodną? Możnaż wymagać co podobnego? Brałem to i biorę za żart... z żartu śmiać się musiałem...

— A ciasne serca i głowy! wyschli ludzie! wybuchnęła pani Robert'owa — rachować na poświęcenie wasze nigdy nie można. Skrupuły! Przecież uczyniłbys to dla szczęścia dwojga istot, które się kochają... przecież cel ten uświęca..

— Al panu! przerwał Zdzisław—gdybym ja nawet chciał odegrać tę rolę npokarzającą dla mnie, jakże przypuszcie można, ażeby pana Herminia zgodziła się na to?

— To moja rzecz, to panny Röttler, to Alfa... a wasza będąc przyjacielem dowieść, że istotnie nim jesteście. Śmieszna rzecz... skrupuł jakiś religijny, gdzie idzie o danie komu szczęścia...

Gniewała się prawie, mówiąc i spoglądając na Zdzisia, który z podziwieniem to na nią spozierał, to w oczy jej patrzył, nie dowierzając swym uszom.

Wstał z krzesła.

— Dajmy już pokój tej rozmowie: pani próbujesz mnie chyba i żartujesz sobie ze mnie... ale pomysł rzeczywiście oryginalny...

I śmiejąc się, opuścił pokój jadalny...

Jeszcze był u siebie, gdy usłyszał, że Alf powrócił, potem żywą rozmowę i grooma, który pobiegł po powóz, a w kwadrans potem pani Robert'owa wyjechała z domu.

Alf wszedł do przyjaciela i zastał go wybierającego się na lekcye.

— Zdziś! moja duszo! odezwał się ze drzwi jeszcze: na miłość Boga, co mamie jest od wczorajszego wieczoru? Ty więcej często wiesz odemnie... Ona się chyba o czemś dowiedziała, o czem ja nie wiem... Smutna, roztargniona, niecierpliwa...

— O przyczynie tego złego humoru nie wiem, odparł Zdzisław; ale to być musi coś małego... to przejdzie ..

— Mama swoich zmartwień nie ma — dodał pieszczony chłopak; lękam się o siebie, bo na nią najprzykrejsze czyni wrażenie co mnie dotyka...

Na ten objaw naiwnego egoizmu, Zdzisław mi mowolnym odpowiedział uśmiechem...

— Być bardzo może, iż ją ta twoja miłość trapi, rzekł poważnie. Widzi jak cię Puciata przyjmuje... gryzie się.

Alf z westchnieniem padł na kanapę...

— Mówisz to z takim chłodem. jak gdybyś nigdy nie kochał — rzekł patetycznie — jakbyś mi wyrzucał miłość tę... jakbym był winowajcą, gdy ja jestem naj-nieszczęśliwszą ofiarą. Ale ja nie mogę zwyciężyć serca; ja ją kocham! kocham! ona czar rzuciła na mnie... Są chwile. że jej nienawidzę za to. że chciałbym portargać te węzły, wyrwać się z tej niewoli — ale to przechodzi moc moją...

Zdziś! litnij się nademną. ale nie dobijaj mnie wymówkami. Cóżem winien? To siła. której żadna potęga nie zwycięży. Temi oczyma czarnemi. tem spojrzeniem poprowadziłaby mnie na śmierć...

Alf zakrył w dłoniach oczy.

— Dziecko ty oszalałe — przerwał mu Zdziś — zlituj się sam nad sobą! Jesteś pewien, że ona ciebie kocha? a jeśli...?

— Nie kończ — krzyknął Alf — ja tego nie mogę przypuścić. ja nie smiem pomyśleć... Gdyby mnie nie miała kochać — odejmcie mi życie... nie chcę go bez niej...

Rzucił się Alf. zatarł włosy i poprawił się.

Niech mnie nie kocha... niech tylko będzie moją... musi mnie pokochać — moja miłość ją pokona...

— Alfie pleciesz... mów chłodno.. masz jej wrażliwość? Ochłoń. rozważ. mów...

Z oczyma wlepionemi w ścianę. stał długo chłopać i myślał..

— Tak jak ja ją kocham... ona mnie kochać nie może... jej miłość jest inna... podobna do litości... chłodna. nierozbudzona... ale ona mnie znosi. cierpi... tego mi dosyć...

— Przyznam ci się. że patrzę na was, pośredniczę, pomagam, mówił Zdziś. a mimo to nie umiałbym powiedzieć, jak jesteście z sobą i jak ona usposobiona jest dla ciebie.

— Ona mnie musi kochać—przerwał burzliwie Alf: nie mów i nie myśl inaczej. jeśli nie chcesz śmierci mojej...

Począł się tragicznym krokiem przechadzać Alf. W jego ruchach było wiele młodzieńczej przesady, egzaltacyi. której siedlisko nie koniecznie w sercu być mogło—ale zarazem uczuł Zdzisław, że ta miłość być musiała rzeczywistą. gorącą. namiętną.

— Uspokój się—rzekł—staraj poskromić... Pierwsza to twoja miłość. rozumiem ją, mam dla ciebie współczucie największe... ale są i nieszczęśliwe na świecie przywiązania. nieodwzajemnione... a Wertheów na świecie mało... Trapić matkę, umierać. dręczyć się... nie wiem czy warto.

— Ty jesteś zimny jak lód, bo ty nigdy nie kochałeś... ty jesteś realista! krzyknął Alf.

Zdziś się zarumienił mocno. ugodziło go to w serce, czuł może sam, że najczystsze, najpiękniejsze młodości uczucie z piersi jego uciekło — upakarzało go to—obrócił w żart rozmowę, aby nie okazał, że cierpiał.

— Alfku, serce moje — uspokój się — wszystko będzie dobrze... Miłość taka jak twoja zwycięża... oze-

nisz się i będziesz u nóg bóstwa pędził życie szczęśliwe...

To mówiąc pocałował go wesoło i zabierał się wychodzić. Alf, który potrzebował słuchacza, nie puścił go samego, poszli razem.

Czy tego dnia skorzystali z odczytów, które odwiedzić raczyli — trudno odgadnąć. Pani Robertowej niemal przez cały ranek w domu nie było, nie zastali jej powróciwszy, czekali z obiadem. Przyjechała z niezwykłymi rumieńcami na twarzy roztargniona, pomieszana, niespokojna. W czasie obiadu mówiła przeciw zwyczajowi mało, nie odpowiadała prawie na pytania, była zamysloną mocno. Alf ją czułością swą starał się rozbroić, domysłając się gniewu jakiegos. Ścisnęła go, całowała, łzy miała na oczach, ale do zwykłego stanu powrócić nie mogła.

— Co mamie jest? szeptał Alf do przyjaciela.

— Nie wiem—odpowiedział Zdzisław.

Była ona tego dnia obrazem kobiety opanowanej myślą jakąś despotycznie nad nią ciążącą. Widac było, że musi pasć albo zwyciężyć. Załedwie obiad się skończył—posłała po konie znówu. Burzliwo było i słotno, nie wstrzymało jej to na chwilę.

Na zapytanie syna, dokąd jedzie? odpowiedziała z pocałunkiem wesoło:

— Dowiesz się później.

Zdzisław z obawą na nią spoglądał, czując ze szalonej myśli, z którą się wyrwała wczoraj, nie opuściła jej jeszcze. Spodziewał się, że te marzenia dziwaczne wprędce się o rzeczywistość rozbiją.

Na herbatę zjawiała się piękna Laura, z mocno wypieczonemi rumieńcami na twarzy, uściśnęła syna

serdecznie, była weselsza, ale milcząca... Zdzisław nieco zaniehbany znowu padł w łaski jak dawniej.

Uśmiechała mu się i wdzięczyła... Dawniej miłe mu to było, teraz prawie groźne. Nie wiedział czemu, zaczynał się lękać tej kobiety, która się nie lękała niczego...

Jakby dla nspokojenia go, była dlań tego wieczoru nadzwyczaj uprzejmą i czułą.

— Jak my powinniśmy być mu wdzięczni! mówiła do Alfa—jaki on dla nas dobry!... Jakie życie musielibysmy tu prowadzić, gdyby tej naszej opatrności nie było!

I ścisłała go za rękę. a przeszywała wyzywającemi oczyma.

— Dla Alfa. dla mnie, a! to prawdziwa opatrność! coraz żywiej i z większym zapalem wołała pani Robertowa. Takiej dobroci, takiego poświęcenia... na świecie mało!

Zdziś się rumienił i prosił, aby mu oszczędzano tych pochwał—nie to nie pomogło... Matka i syn osypywali go niemi wieczór cały. Alf był w tem szczerzy i mówił tylko co czuł. Szczególniej pośrednictwo do Herminii, nlatwianie z nią stosunków, obudzało w nim wdzięczność najgorętszą...

— Między Zdzisiem a mną, wołał ściskając go — c'est à la vie et à la mort!!

Te wybuchy mieszały nad wszelki wyraz hrabiego... Niespokojny wyrwał się pod pozorem bólu głowy zawczasu do swojego pokoju. Lecz ucieczka ta nie na wiele się przydała.

Pani Robertowa w kwadraus potem, niosąc kolouska wódkę. Eau des carmes. eter.. przyszła

sama do niego. Rzuciła to wszystko na stolik i siadła na kanapce, podpierając się na rękę. Alf był już u siebie.

— Cały dzień latałam jak szalona — odezwała się mów co chcesz, c'est la seule idée raisonnable... Herminię trzeba z rąk ojca wyswobodzić, uczynić panią swej woli... Głupi, nieznosny starzec jest zacięty i uparty; nie można się spodziewać nawet go przeprosić. Panna Röttler, wszyscy co go znają—mówią toż samo... Ty musisz być zbawcą naszym.

Nie dając słowa wtrącić Zdzisławowi, ciągnęła dalej bardzo żywo:

— Moja myśl nie wydała się innym tak niedorzeczną jak tobie... Panna Röttler powiada, że jest genialna., że tylko miłość macierzyńska taka jak moja zdobyć się na nią mogła... Dała mi słowo, że o tem z Herminią mówić będzie, że ją przygotuje... i ma nadzieję, że dziewczę się zgodzi...

Zdziś chciał coś mówić, pani Robert'owa wyciągnęła białą dłoń i położyła mu ją na ustach.

— Ale słuchajże mnie—ciągnęła dalej. Alfowi nie mówię nic, dopóki wszystkie przeszkody zwyciężone nie zostaną... Obiecałam Röttlerce... co zechce... Posag, męża... wdzięczność moją... dozgonną... Jestem pewna, że sama uciecha przyłożenia ręki do tak wielkiego dzieła skusi ją... Pisze romanse, ale nigdy nic podobnego nie wymyśliła. Może z tego później zrobić arcydzieło. Pomysł jest—jak ona sama powiada—genialny... Hrabia Zdzisław Samoborski oświadcza się o pannę Herminię. Ojciec ściska go. całuje w głowę, płacze z radości, zezwala... Ślub uroczv-



sty... Po ślubie w godzinę gwałtowny interes zmusza hrabiego do wyjazdu... Gwałtowną sprawę zawsze wymyśleć potrafimy... Podajecie prośbę o rozwód... ja płacę za wszystkie formalności... rozwód w takim małżeństwie, które się rozeszło od ołtarza, bardzo łatwy... ksiądz mi to powiadał. radziłam się dziś duchownych... Zapowiedzi i wesele Alfa...

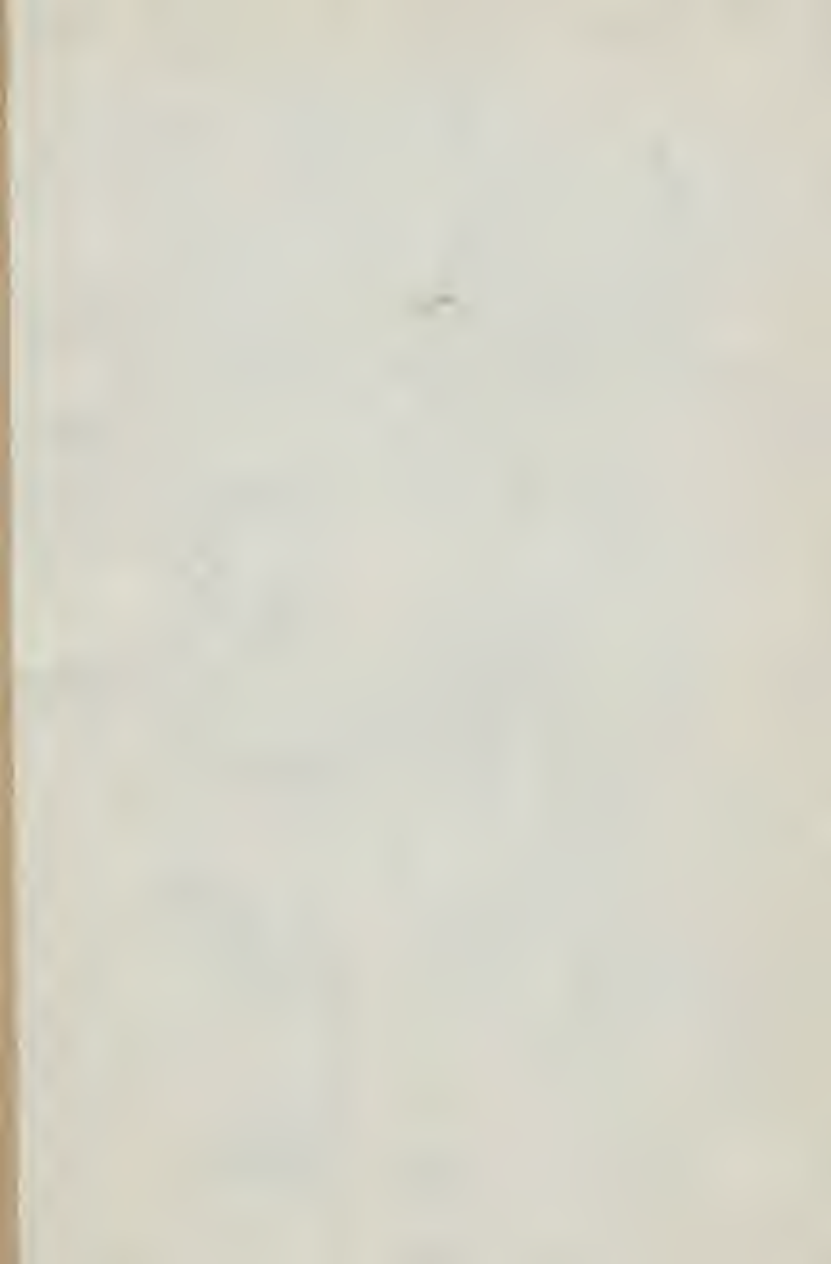
— I — i pan hrabia Samoborski nie będzie mógł potem oczu na świat pokazać!—zawołał hrabia.

Pan hrabia jedzie ze mną do mnie i nie potrzebuje pokazywać oczu nikomu, oprócz mnie... odpowiedziała energicznie pani Robertowa—pan hrabia opuścić nas—nie może...

Zdzisław zamilkł chmurno... rozmowa została szeptem niezrozumiałym przerwana. który się długo przeciągnął.











Biblioteka Raczyńskich

**JK 261**



JK0261